

Stanisław KACA

ARCHIWUM WSCHDNE

Mam w tej chwili 67 lat i jestem emerytem. Pamiętam dobrze pewne chwile, np. wybuch wojny. Wojna przez dłuższy czas wisiała na włosku, ale ludzie już się otrzaskali z tą sytuacją. Nagle, pewnego dnia, słyszemy jakieś strzały w powietrzu a nasz sąsiad, który właśnie podlewał ogródek, pan Bodak, mówi do mojego ojca: "Proszę pana, mówili w radiu, że jest wojna". O godzinie 11 zobaczyliśmy 4 czy 5 samolotów, które powoli leciały nad miastem. Jeszcze moja matka powiedziała: "O, popatrz się, polskie samoloty! Niech wam Pan Bóg błogosławi!" W tym momencie zaczęło się bombardowanie. Pierwsze bomby spadły na okolice Dworca Głównego.

Mieszkaliśmy na Łyczakowie, na peryferiach miasta. To była dzielnica willowa, w której było rozlokowanych mnóstwo żołnierzy polskich z karabinami maszynowymi przeciwko samolotom. Sowieci wkroczyli do Lwowa nie 17.IX. ale jakieś 4 czy 5 dni później. Był wtedy piękny słoneczny dzień. Nagle słyszemy strzelaninę. Wpadają już, słyszę obcy język. Wrzucili nam na parter domu, do mieszkania, granat - chociaż tam nikogo nie było. Rozwalił on ścianę między jednym a drugim pokojem, rozwalił pianino. Dobrze, że nikogo nie było w domu. Wszyscy poszliśmy do schronu, bo był zapowiedziany nalot lotniczy. Sowieci wkroczyli bardzo natarczywie, bardzo ordynarnie. Tych polskich żołnierzy, którzy byli z karabinami maszynowymi, postrzelali, oni poginęli. W tym miejscu, gdzie stał karabin maszynowy przez długi czas potem była mogiła polskiego żołnierza. Tym się już nikt oficjalnie nie interesował, dbali o nią ludzie prywatnie. Pola

Armia rosyjska wyglądała wówczas okropnie. /.../ To była armia żebraków. Karabiny na sznurkach, chodzili w gumowych kałozach. Wynędzniałe to bractwo, jakieś takie głodomory. /.../ Były takie autentyczne wypadki, że mieszkający już pewien czas

we Lwowie oficer sowiecki schodzi do mieszkania położonego o piętro niżej i mówi, że spędził mu mydło z umywalki na dół.

Okazuje się, że się mył w muszli klozetowej. To była Azja, wkroczyła do nas Azja.

Po wkroczeniu Rosjan przede wszystkim jakoś dużo Żydów odżyło. Pamiętam takie rozmowy, takie okrzyki na ulicach: " - No, już nie będzie waszej Polski!" W sposób horrendalny naśmiewali się z Polaków. Oczywiście nie wszyscy, ale takich właśnie było bardzo wielu. To się zapamiętało. Oni byli jedną z nacji, która z Rosjanami szła ręką w rękę. Żydzi i komuniści ukraińscy. To byli ludzie, którzy nas, Polaków, denuncjowali. Ludność bardzo zubożała, bo w przeciągu kilku dni wszystko się odwróciło do góry nogami. Ruscy zaczęli wprowadzać porządek - bardzo ostry reżim. Już na samym początku było bardzo wiele aresztowań - niewątpliwie był to jeden z elementów przemysłanego systemu zastraszania ludności. Potem to się trochę ustabilizowało.

Ja, żeby coś zrobić i mieć jakiś świstek papieru zapisałem się na kurs księgowości. Akurat w ^{maju} 1939 r. zdałem maturę. Kursu tego nie skończyłem. Później, żeby coś zarabiać, poszedłem do byłej "Książnicy - Atlas"ę, która się nazywała wtedy "Gosgeolizdat" - Gosudarstwiennyje Geologiczeskie Izdatielstwo. Byłem tam kreślaczem u prof. Romera. Prof. Romer był jednym z tych ludzi nauki, którym Sowieci dali wolną rękę. On przyjmował tam wielu Polaków i między innymi mnie zdekorował. Robiliśmy mapy. Powstała tam cała grupa Polaków, którzy się schronili w tej instytucji. Obok prof. Romera był tam też docent Uhorczak, który po wojnie został profesorem we Wrocławiu. Siedziałem tam do momentu, w którym zaczynało się już napięcie niemiecko-rosyjskie. W międzyczasie aresztowano moich kolegów, którzy poginęli w więzieniach. Ciężko wydali rodzinom, pamiętam nawet pogrzeb na Cmentarzu Życzkowskim. Jeden nazywał się Pierzechaw-

ka a drugi Zbyszek Lauda. Byli to moi koledzy z VI gimnazjum. Siedzieli w więzieniu na Łąckiego i tam zginęli w czerwcu 41 r. jakoś przed wkroczeniem Niemców.

22.VI.1941 r. Wybuch wojny... Wojska rosyjskie tak uciekały, że ja nigdy nie widziałem tak straszliwego popłochu. Niemcy ich zaskoczyli. Lwów był położony stosunkowo blisko ówczesnej granicy rosyjsko-niemieckiej. Uciekali ~~xxx~~ gęzie pieprz rośnie. Mimo to jeszcze wtedy brali ludzi do wojska. Wcześniej powoła- li mojego kolegę z gimnazjum - Kazika Kowalskiego. On był tro- chę ode mnie starszy. Wcielili go do armii i wywieźli na wschód od Władywostoku, dostałem stamtąd od niego list. Gdy już ucie- kali to po mnie przyszedł żołnierz z "powiestką", że mam się zgłosić do poboru. Oczywiście ja tego nie zrobiłem. Rodzice gdzieś mnie zadekowali a po paru dniach już ich nie było.

Wkroczyli Niemcy. Byłem bardzo zaniepokojony tym jak ta nowa armia wygląda, więc poszedłem do miasta obejrzeć sobie to wszystko. Zobaczyłem tam olbrzymią ilość czołgów i samochodów z żołnierzami. Wszystko to zmierzało na wschód. Wolno było chodzić ulicami, nikt nie robił jakichś wstrętów. Od razu tego dnia zaczęły się pogromy Żydów. Przyłożyli się do tego i Niemcy, już w pierwszym dniu, i ludność miejscowa. Wszędzie było widać Żydów pobitych w okrutny sposób. Na ul. Łyczakowskiej, trochę poniżej kościoła św. Antoniego stała na ulicy cała kolumna żoł- nierzy. Widzę, że młody Niemiec, jadąc na rowerze, prowadzi za sobą oddziałek. Przed sobą zaś pędzi młodziutkiego Żydka, który miał może 18-19 lat. Tlustego na twarzy i bledziutkiego. Ten Niemiec trzymał jakiś kij czy witkę w ręce. Żydowi kazali unieść ręce do góry. Widocznie prowadzili go już z daleka, bo był on na w półprzytomny, ręce mu opadały. Wtedy ten szczeniak, może miał 17 lat, jadący na rowerze, walił go kijem i tak go prowadzi. Straszne to na mnie zrobiło wrażenie, bo jeszcze człowiek nie

nie był oswojony z bestialstwem tej wojny. Patrzyłem jak bije tego Żyda.

Idąc przez Lwów, za takimi bitymi, masakrowanymi Żydami, dotarłem na ^{ul. Koperuika:} Łackiego. Poszedłem na ul. Tomiewskiego, boczną przy więzieniu na Łackiego. Przy tej ulicy była brama na podwórze więzienia. Tam właśnie Żydzi, w pierwszym dniu wkroczenia Niemców do Lwowa, wykopywali trupy pomordowanych ^{przez NKWD} więźniów. Gdy tam byłem to już te wszystkie ^{wykopywane z ziemi} ciała rozkładły się - trzeba było trzymać chusteczkę przy nosie, bo odór był niesamowity. Każde wyciągnięte z ziemi zwłoki miały ręce związane drutem kolczastym. Ci ludzie chyba byli bardzo bici przed śmiercią, bo niektórzy mieli obrzymie głowy, tak ^{duży} opuchnięte. Widziałem to wszystko na własne oczy. Potem już człowiek lepiej rozumiał Katyn.

Wracam do domu, zrobiło się już ~~ciężko~~ późno i widzę, że ludzie stoją w takiej bramie wjazdowej na podwórko, w ^{przy ul. Tyczakow-} Kamienicy. ^{niedaleko powyżej kościoła Św. Antoniego.} Zaglądają do środka, więc ja też ^{stoję} patrzę. A tam ten szczeniak Niemiec, którego widziałem idąc do miasta, sprowadził jakiegoś gestapowca, takiego byczka, rzeźnika. Wrzucili tam tego młodego Żyda i właśnie w tym momencie kiedy gestapowiec przyszedł i strze-
- lał - bach! bach! bach! Żyd tylko podrygiwał - zejrzałem tam. Było to moje pierwsze zetknięcie się z bestialstwem Niemców. Widziałem wprawdzie tego Żyda prowadzonego, wyglądało to jakby Chrystus prowadzony na Golgotę, a potem jak go zabił ten byczek.

Po wkroczeniu Niemców istniejąca już wcześniej konspiracja bardzo się wzmocniła i była lepiej zorganizowana. Moje wstąpienie do Armii Krajowej miało miejsce w październiku 1941 r. Przez moją koleżkę Zenkę Bytnarę, syna ogrodnika z Kulparkowa, zostałem wciągnięty do, jak to się wtedy nazywało, polskiej organizacji, nikt jeszcze wtedy nie mówił o Armii Krajowej czy ZWZ. Któregoś dnia wieczorem, po ciemku, poszedłem z Łyczakowa na Kulparków. Mój kolega tam mieszkał i odbywało się to w jego

dzielniczy. Zaprowadził mnie do jakiejś sali, zebrało się tam ze 30 osób, dosyć dużo. Wszyscy byli wpuszczani pojedynczo. Czytano nam tekst przysięgi, którą powtarzaliśmy. Prawdopodobnie osobą, przed którą składaliśmy przysięgę, był pułkownik Macieliński. Tak mi potem mówiono. To było moje wejście do organizacji. Z dokumentów: "...od października 41 do lutego 44 przydzielony do grupy studenckiej BIP-u. Kolportował tajną prasę i ukrywał w swoim mieszkaniu skoczka cichociemnego ps. "Uszka". Mieszkaliśmy w willi. Podczas wojny zmarł mój ojciec, zaś brat w tym czasie był za granicą. W domu była tylko matka i ja. Mieliśmy dobre warunki, spokój, więc przydzielono nam skoczka, który miał przyjechać do Lwowa. I. przyjechał kpt. Michał Wilczewski, ps. "Uszka", którego zameldowaliśmy u nas. Oczywiście pod fałszywym nazwiskiem. Mieszkał u nas wraz ze swym późniejszym zastępcą, Adamem Wierzbickim. Wilczewski był człowiekiem niesamowicie skromnym, bardzo cichym i niepozornym. Wiedzieliśmy, że wciąż gdzieś wyjeżdża. Był przydzielony do Okręgu Stanisławów, w którym w tym czasie był szereg wpadek. Potem przez szefa Okręgu, prof. Hermana, został wyznaczony na dowódcę Kedywu Okręgu. W bazie w Korczunku koło Stryja organizował oddział specjalny, dywersyjno-dyspozycyjny, którym bezpośrednio dowodził. Jego zastępcą został Wierzbicki ps. "Awut".

W 1944 r., gdzieś w czerwcu "Uszka" ściągnął mnie do tego oddziału. Dotarłem ^{ze Lwowa} (do Korczunku). Była to wieś położona o 8 czy 10 km od Stryja, w lesie. Polska wieś, jedna z pierwszych, w których zorganizowała się samoobrona przeciwukraińska. Okolice Stryja były silnie nasyczone oddziałami UPA. Rzecz charakterystyczna, że gdy Ukraińcy poczuli, że gdzieś jest niebezpiecznie to już się tam nie pchali. Później Korczunek wyznaczona na punkt zrzutów broni i sprzętu dla AK. Baza była bardzo dobrze zorganizowana. Pamiętam, jak do niej dochodziłem. Miałem dojechać do ^{Stryja} Stanisławowa i coś tam trzymać w ręku. Na dworcu podeszła do mnie jakaś

jakaś dziewczyna, zapytała o hasło. Odpowiedziałem i poprosiła, żebym poszedł za nią. Nocowałem w Stryju, u jakiejś polskiej rodziny. Nad ranem zbudzili mnie i jakiś młodzieniec poprowadził mnie do lasów za miasto. A tam już: "Stój! Kto idzie?" Były tam czujki. On podawał hasło, zresztą był z tym już obeznany. Zanim doszliśmy do bazy zatrzymywano nas dziesięć czy piętnastu razy. Gdybym z nim nie był, to zostałbym niewątpliwie zatrzymany. W Korczunku było ze 300 żołnierzy AK, ale to była tylko jedna wioska. W rejonie tym były dalsze zorganizowane polskie wioski: Antoniówka, Sulatycze, Krechówka i w sumie tworzyły bazę samoobrony.

W Korczunku znalazłem się w okresie, gdy oddział już przygotowywał się do marszu. Znalazłem się trochę na zasadzie protekcyjnej, ponieważ Michał mieszkał u nas. ^{we Lwowie} W oddziale początkowo było 40 ludzi, ale przed wymarszem odbyła się rozmowa całej grupy z dowódcą, podczas której można się było wycofać z imprezy. Złazanie było bardzo niebezpieczne. Dwóch kolegów się wycofało i zostało nas 38.

Wyruszyliśmy z Korczunka do Bitkowa koło Nadwórnej. Trzeba było iść około 150 km przez tzw. Czarny Las, teren opanowany przez oddziały UPA. Front już nadchodził, wszyscy wokół uciekali na zachód a myśmy szli na wschód aby wspomóc bazę w Bitkowie, otoczoną czernią ukraińską. Mieliśmy wspomóc istniejącą tam samoobronę, która alarmowała, że ma za mało broni, za mało ludzi, za mało instruktorów. W tym właśnie celu stworzono nasz oddział, specjalnie przeszkolony. Po dojściu na te tereny mieliśmy tam pozostać i razem z Rosjanami prowadzić akcję "Burza". Oni jednak już w pierwszym dniu po wkroczeniu zaczęli nas prześladować.

Mieliśmy za zadanie nie przeprowadzać żadnych akcji przeciwko Ukraińcom a jedynie przejść niepostrzeżenie. Zbyt cenne było

zaopatrzenie, które żeśmy nieśli. 38 partyzantów przy tysiącach partyzantów ukraińskich to nie była żadna siła. Cały teren, po którym poruszaliśmy się był przez nich opanowany. Były tam oddziały po 300 osób, z końmi, z furmankami. Oni wciągali nawet taką ludność, która nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Wydali oświadczenie, rozlepiane po wszech, że każdy Ukraińiec, który nie wstąpi do UPA zostanie rozstrzelany. Było to pociągnięcie terrorystyczne w stosunku do własnej, ukraińskiej ludności. Wobec tego cała ludność męska była zaangażowana do UPA.

Podczas naszego marszu było wiele sytuacji podbramkowych. Wielu spośród nas nie znało języka ukraińskiego, np. ja. Jednak musieliśmy wstępować do wiosek, więc ci z nas którzy ten język znali to rozmawiali. A nam, którzy nie umieliśmy mówić, nie wolno było otworzyć gęby. Miejscowa ludność witała nas: "Sława bohaterom! Sława Ukraini!" W niektórych wioskach nas nawet dobrze karmili, dawali mleko, ser. Naszym zadaniem oczywiście było nie ujawnianie tego, że to jest polski oddział. Ale ludzie chyba się domyślali, bo przecież widzieli, że mamy zupełnie inne uzbrojenie. W rezultacie w pewnych momentach tropiono nas. Musieliśmy kilkakrotnie zmieniać marszrutę, udawaliśmy, że idziemy na zachód, żeby się zgubić. Idy dotarliśmy pod Bitków zatrzymaliśmy się w opuszczonej kuźni, w lesie. Była to dosyć duża szopa, z dwoma czy trzema pomieszczeniami, bez okien. Tam zostaliśmy i wysłaliśmy "Litwina" /Henryka Zjawin-Matkowskiego/, który znał dobrze ten teren, do Bitkowa. On nawiązał kontakt z miejscową AK, przyniesiono nam, jakies dziewczęta, gorący rosół. Miał też dołączyć do nas dobrze zorganizowany oddział z samego Bitkowa, tak, że nasze nastroje polepszyły się.

Jednak pierwszej nocy naszego tam pobytu ktoś, prawdopodobnie Ukraińcy, sprowadził Niemców. Myśmy mieli wartowników, którzy pilnowali postoju. Ale Niemcy prawdopodobnie wysłali czujkę

złożoną z dwóch tylko żołnierzy. Chcieli sprawdzić czy ten donos jest prawdziwy. Podeszli a my wszyscy w najlepsze chrapiliśmy. Pamiętam okrzyk: "Hände hoch!" i serie z broni maszynowej. Zrobił się straszny tumult, bo zaskoczyli nas. Ci Niemcy zresztą zaraz uciekli. Myśmy się poderwali. Ale w wyniku tej strzelaniny czterem ludziom seria poszła po nogach /m.in. Kowalski/. Najcięższe rany odniósł zastępca dowódcy oddziału, por. Adam Wierzbicki "Awut". Musieliśmy uciekać w góry. Wyrwaliśmy w tej kuźni drzwi i na nich nieśliśmy rannych. Niosło nas po czterech, a nawet po sześciu. Ja z innymi niosłem naszego porucznika. Po jakichś trzech kwadransach takiego pośpiesznego marszu słyhać strzały, podeszły główne siły niemieckie. Wywiązała się straszna bitwa. Myśmy mieli granaty, dwa karabiny maszynowe, każdy z nas miał stena. Jak się zaczęło w tym lesie pukać, to ludzie z okolicznych wiosek ~~byli~~ uznali, że wylądował desant. Niemcy nie zapędzali się głębiej w las, gdy napotkali twardą odpowiedź ze strony naszego oddziału. Nasz kapitan, "Uszka", strzelał rzadko ale za każdym strzałem było trafienie. Zabił dowódcę niemieckiego oddziału, potem jakiegoś drugiego oficera.

Nie znam motywów zachowania się "Awuta", który będąc ranny - rzeczywiście nie mógł wstać o własnych siłach - zaczął krzyczeć do Niemców: "Halt! Halt!". Doskonale znał język niemiecki. Sytuacja jest taka, że jest silna strzelanina, nagle słyhać w lesie wykrzyczane mocnym głosem "Halt! Halt!" i on zaczyna z nimi rozmawiać, żeby przerwali ogień. Zsunął się po zboczu i oddał się Niemcom do niewoli. Ponieważ był w angielskim mundurze, więc poszła fama, że w tych lasach był zrzut angielski. Niemcy tak myśleli i w związku z tym traktowali go trochę delikatniej.

Niemcy przestali strzelać, zbrali "Awuta" i wycofali się. Myśmy odbili się trochę z tymi rannymi. Ale co robić dalej?

Jesteśmy w lesie, którego nikt z nas nie zna. Jedynym obeznanym z terenem był "Litwin". Ja byłem najstarszy ^{wielkiem} z tych chłopców więc powiedziałem do niego: "Gdzie my możemy teraz pójść? Czy mamy wracać z powrotem?" Nasz dowódca gdzieś się chwilowo zapodział. Uratował nas "Litwin", który powiedział, że jesteśmy niedaleko od Nadwórnej i wskazał kierunek marszu. Poszliśmy. Było wcześnie rano, chyba koło godziny czwartej i robiło się szarawo. Dochodzimy do Nadwórnej, za rzeką Bystrzycą widać miejscowość. Przez rzekę prowadzi drewniany most. Przeskakuję przez drogę - bo wziąłem na swoje barki zadanie doprowadzenia oddziału - po jej drugiej stronie jest las. Ci za drogą czekają na mój sygnał. W pewnym momencie rozgryłem krzaki, a tutaj sterczy lufa czołgu. Lufa okręcona skórzanym kapturem. W tył zwrot! Tam spali Niemcy. Na szczęście nikt z nich nas nie zauważył. Myśmy się wycofali. Schowaliśmy naszą broń w szuwarach nad rzeką, zamaskowaliśmy trawą czy liśćmi i pojedynczo, brodem przez rzekę - do kościoła. Kościół było z tego miejsca widać. Most był strzeżony przez Niemców. Stały tam dwie drewniane budki, dwóch z jednej strony, dwóch z drugiej strony - dzień i noc pilnowali jako obiektu wojskowego.

Tadeusz

Proboszcz parafii w Nadwórnej, ks. Łączyński /niedawno żeśmy go pochowali, był proboszczem w Legnicy/ był członkiem organizacji. Na swojej plebanii kwaterował dwóch oficerów niemieckich i dwóch węgierskich. Był na tyle odważny i bezczelny, że schował cały oddział - było nas wtedy 25 czy 26 - na strychu w budynkach plebanijnych, nad jakąś dużą szopą i samą plebanią. Siedzieliśmy tam jak trusie. Gospodynie księdza robiły nam żarcie, które dyskretnie donoszono na ten wielki strych.

Jeszcze tego samego dnia znalazł się na miejscu "Uszka". Zajął się przede wszystkim pomocą dla rannych. Zostali oni w lesie, zdekowani. Zostawiliśmy im tę trochę jedzenia, które jeszcze

mieliśmy. Opiekę nad nimi przejęła placówka w Bitkowie. Trzeba ich było gdzieś przenieść. Ksiądz Łączyński utrzymywał dobre stosunki z Węgrami. Dwaj mieszkający na plebani oficerowie węgierscy zostali przez niego wtajemniczeni w całą sprawę. Udostępnili wojskową sanitarkę węgierską z kierowcą. Nazywał się on Paul Kiraj i był Słowakiem w armii węgierskiej. Przewiózł nam tych rannych do szpitala w Nadwórnej. Ordynatorem tam był chirurg, dr Bełtowski, również należący do organizacji. Rannych przyjęto jako postrzelonych na drodze pomiędzy Nadworną a jakąś inną miejscowością. Tego typu incydenty zdarzały się na tamtych terenach dość często bo działali tam Ukraińcy. Nikt więc z tego powodu nie robił specjalnej sensacji. Ci trzej nasi ranni w nogi koledzy zostali więc przewiezieni do szpitala i zoperowani przez dr Bełtowskiego. Równocześnie kpt. "Uszka" energicznie działał w sprawie "Awuta". Miał do dyspozycji złote funty szterlingi. Przez księdza dał je Węgom, Węgrzy przez taką monetę - jedną czy dwie - porozmawiali z lokalnym dowództwem niemieckim, że biorą Wierzbickiego do siebie, jako węgierskiego jeńca. Przetransportowali go, rannego, na Węgry. Przeżył, doczekał się na Węgrzech zakończenia wojny i przyjechał do Polski. Należy podkreślić bardzo umiejętne postępowanie kpt. "Uszki" i ks. Łączyńskiego, dzięki którym cała sprawa tak dobrze się skończyła.

Wracając do wydarzeń tego gorącego dnia. Jesteśmy już na plebani, cały oddział. Po południu ks. Łączyński powiada: "No dobrze chłopaki ale gdzie macie broń?" Trzeba będzie ją przynieść, nie może przecież zostać pod opieką Bożą. Kto się zgłosi?" Zgłosiłem się ja i dokooptowałem drugi kolega, którego nazwiska nie pamiętam a pseudonim miał "Kaź" /podobno po wojnie był taksówkarzem we Wrocławiu/. Ksiądz dał nam do dyspozycji furmenkę, konia i dwie kosy. Mieliśmy się udać rzekomo po to aby nakosić trawę dla bydła na plebanię. Na plebani, gdzieś od dwóch lat, mieszkała lwowianka, Teresę Firich. Ksiądz dał nam ją jako przewodnika znajdują-

cego teren. Ona znalazła Niemców będących w obstawie tego mostu. Podeszła do nich, zaczęła z nimi rozmawiać, śmiać się - przepuszczono nas. Gorzej było z powrotem, bo wtedy mieliśmy już na furmance 25 stenów, 2 rkm y i granaty. Przykryliśmy to wszystko trawą, którą skosiliśmy w pobliżu miejsca ukrycia broni. Przy okazji kolega złamał kosę. Wracamy: ja z kosą, on trzyma konia z uzdę. Most był strzeżony przez czterech Niemców. Tereska znowu zaczęła z nimi rozmawiać a myśmy powoli przejeżdżali. Scena pełna napięcia, bo oni wpatrywali się w naszą furmankę. Jakoś przejechaliśmy, nie kazali się zatrzymać. Za najbliższym zakrętem kolega wskoczył na tą furmankę i galop. Jacyś chłopcy wybiegli przed nami i krzyczą: "-Jadą! Już jadą!" Natychmiast otworzono na oścież bramę na plebanię. Czekają już na nas zatrudnione tam kobiety. To wszystko zostało błyskawicznie przeniesione do jakiejś komórki, gdzie była wnęka. Miejscowy cieśla od razu robił beleczki i co tylko położyli, to on ^{zabudowywał} ściankę kawałek do góry. W ciągu piętnastu minut skrytka zniknęła za ścianą, coś na niej powieszono. Uratowaliśmy więc całą naszą broń i amunicję, skorzystała z niej później nasza baza w Bitkowie.

Pobyt w Nadwórnej przeciągnął się do trzech tygodni. Wspaniale zachowywała się obsada tej plebani, było tam z sześć gospodyń. Nie pisnęły na nasz temat ani słowa. Dbano o nas bardzo ładnie. I codziennie wyjeżdżało po dwóch - trzech ludzi. Jedni jechali do Lwowa, inni do Stryja. Zbliżał się już front, ja pojechałem z moim dowódcą, kapitanem Wilczewskim, do Stanisławowa. Pojechaliśmy pociągiem. Miejscowa konspiracja przygotowała nam jakieś lewe zaświadczenia. W Stanisławowie "Uszka" miał rodzinę i ciągnęło go tam, aby przetrzymać moment przewalenia się wojsk sowieckich. Myśmy nie bardzo wiedzieli jak to będzie wyglądać. Raczej przypuszczaliśmy, że wejdą sprzymierzeńcy - okazało się, że było zupełnie inaczej. ^{(w Stanisławowie} Dołączył do nas jeszcze jeden chłopak

ku z AK, syn rusznikarza ze Lwowa, Roman Dmytrach. On był bokse-
rem wagi piórkowej. Organizacja dała nam kwaterę u starszej pa-
ni, która mieszkała ze swoją siostrzenicą. Zajęliśmy jeden pokój
w ich willijce. To było na jakieś dwa, może trzy dni przed
wkroczeniem wojsk radzieckich. Same wejście dokonało się w nocy,
bez specjalnych walk, bo Niemcy się wcześniej wycofali. Z chwi-
lą zajęcia Stanisławowa nasz dowódca wyszedł do miasta, żeby
zasięgnąć języka - jak to wygląda, co się dzieje. Ja z kolegą
siedzieliśmy w mieszkaniu. ~~xxxx~~ "Uszka" wyszedł koło godziny
dziesiątej a koło godziny jedenastej do tego domku przychodzi
dwóch sowieckich oficerów. Szukają "kwartiry". Oglądają całe
mieszkanie, wszędzie wchodzi, jak to oni mieli w zwyczaju: "Da,
charoszaja kwartira. A pasport u was jest". Miałem legitymację
studenta weterynarii, ze Lwowa. Tłumaczę, że tu przyjechałem i
został mnie front. Wylegitymowali kolegę. "No charaszo. My zdies
budiem żyć". Poszli. Specjalnie ześmy się tym zdarzeniem nie
przejęli, choć troszeczkę było nieprzyjemnie, bo wszędzie wtyka-
li nos. Ale nie minęło dwadzieścia minut, gdy przychodzi po nas
czterech żołnierzy z pepészami. - "Tu są dwaj ^o ~~włodźiency~~?"
- "Jesteśmy, a bo co?" - "Sobirajties wieszczię iditie s nami!"
To było aresztowanie. Prowadzą nas - miało to miejsce w willowej
dzielnicy - nie ulicą ale przez podwórka, ogródki, już są dziury
powybijane w murkach, tak że można przejść z jednego podwórka
na drugie, na następną ulicę. Przyprowadzili nas do jakiejś
piętrowej willi, jej właścicielami byli jacyś Ukraińcy, a na
swoją kwaterę zajął ją "Smersz", sowiecki kontrwywiad wojskowy.
Wprowadzili nas na piętro, gdzie zastaliśmy rozłożonego, ~~rozcheł-~~
~~xxxxxxx~~
na tapczanie x, rozchełstonego oficera. Zdaje się, że flirtował
z właścicielką. Poprawił mundur i zaczęło się regularne przesłu-
chanie. Wezwano protokolanta. Najpierw nagłowano mnie, kolega
siedział w innym pokoju. Trzymali już nas oddzielnie. Odebrali

wszystkie papiery, jakie miałem przy sobie. Potem wzywali Romana. Przesłuchiwano mnie kilkakrotnie, nie bito mnie ale ~~kwintę~~ przesłuchania były niezwykle ordynarne. Kwintesencją każdego z nich było: - "Wy Armia Krajowa, wy szpion germanski!" W pewnym momencie ten oficer, był zdaje się kapitanem, tak się zdenerwował moimi próbami tłumaczenia, że jak "Armia Krajowa, to nie germanski szpion", że krzyczy do jakiegoś żołnierza: - "Idi sjuda! Jewo neda razstrielat". Wszystkie okoliczne wille były już zajęte przez wojsko. W tej akurat mieścił się sztab "Smiersza". Wezwany żołdą popchnął mnie i prowadzi na podwórko. Podwórko frontowe: pijani żołnierze, jeden zapity grał na harmonice i coś tam podśpiewywał, inny się mył. Ten podprowadza mnie pod jakąś niską przybudówkę, nie pamiętam czy to była stajenka, czy też garaż. Stawia mnie pod murem i cofa się o parę kroków. Przy panującym tam rozgardiaszu na te dwa czy trzy strzały nikt by nawet nie zwrócił uwagi. Przez głowę błyskawicznie przeleciała mi myśl: "Jak to?! Ja poszedłem do polskiej partyzantki a jako niemieckiego szpiega zabijają mnie Sowieci. I nawet moja matka nie będzie o tym wiedziała."

W tym momencie skrzypi bramka ogrodowa i do willi wchodzi gruba baba w sowieckim mundurze. Chyba jakaś "pałkownik". Wszyscy stoją na baczność. Ona widzi, że ten żołnierz do mnie mierzy. - "Szto takoje?" i "Germanskowo szpiona major /czy kapitan/ prikezał ubit". Popatrzyła się na mnie, nic nie powiedziała. Chwilkę pomyślała i powiada: - "Kak eto germanski szpion, tak jewo neda atstawit w kamiendanturu". Poszła. Wobec tego egzekucję - wydaje mi się, że nie fingowaną, nie było takiej potrzeby - wstrzymano i cofnięto mnie do tego pokoju, w którym mnie przetrzymywano. Za jakiś czas wzywają mnie znów i ten kapitan/?/ mówi: - "U was tam był trietij?" Mieli widocznie dokładne meldunki, myśmy tam byli obcy, więc łatwo było nas za-

usłyszeć. Pomyślałem, że nie ma sensu się wypierać. - "Tak, był." - "No to my chcemy, żebyś go tutaj przyprowadził". - "Dobrze, przyprowadzę go, ale przecież on na pewno jest u siebie w mieszkaniu". Chociaż z góry wiedziałem, że ta kwatera jest już spalona, bo od strzyżenia do tej rozmowy upłynęło już dobrych parę godzin. Ale każda zmiana w aktualnej sytuacji była dla mnie lepsza. Ten oficer daje mi trzech żołnierzy. Prowadzą mnie do naszej willi. Ludzie się na to patrzą, ale wiadomo - wojna, może to prowadzą jakiegoś Niemca. Przyszliśmy. Była właścicielka i jej siostrzenica. Żołnierze rozstawili się na enkawudowski sposób. Jeden został przy drzwiach wejściowych, jeden na klatce schodowej a jeden wszedł ze mną do środka. Wchodząc do tego domu mówię do przestraszzonej właścicielki, jednocześnie zdejmując z ręki zegarek po ojcu: - "Proszę pani, proszę wziąć ten zegarek!". - "Nie, nie". Ale w końcu wzięła. Enkawudysta pyta: - "Ku, gdzie on?". Ale widzę, że zainteresował się dziewczyną, siostrzenicą - brzydką zresztą, rude, blade i tłustawa - i stanął w drzwiach między kuchnią a pokojem. Za ^{kuchnią} ~~tego pokojem~~, po prawej był jeszcze ^{drugi pokój} ~~pokój~~, niewidoczny od drzwi. Soldat oparł się o framugę ^{drzwi} i flirtuje z dziewczyną. A mi się jakoś powiedziało: - "Zobaczę, może tam jest!", bo bez przerwy zaglądałem we wszystkie kąty i mówiłem: "Gdzie on? Gdzie on?". Uważałem, że szukam. On stoi oparty i mówi: - "Iskaj!", pewnie wiedział, że go nie znajdę. Wchodzę do tego pokoju i widzę, że okno jest otwarte, a mieszkanie jest ~~zaxxxxxxxx~~ na parterze. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Wchodzę tam i czmych do ogródka! Był tam niski parkanik z drewnianych sztachetek. Przez ten płotek, przez bramkę i na ulicę. Patrę ~~na~~ w którą stronę bliższa droga do rogu. ^{ulicy} Biegnę. Nikt za mną nie biegnie. Na lewo i do następnej przecznicy, żeby ich zgubić jeżeliby za mną gonili. Coś jeszcze miałem w marynarce, przerzuciłem to do kieszeni spodni. Marynar-

kę miałem już pustą. Wpadłem na podwórko jakiejś ^{obcy} willi. Widzę, że jegomość coś robi w ogródku. - "Panie! Gonią mnie Sowietci!.. Gdzie ja tutaj..." Tylko tyle zdążyłem mu powiedzieć, a on od razu - "Panie idź pan stąd! Netychmiast!" Nawet nie chciał mnie wysłuchać do końca. Rzuciłem mu marynarkę: - "Niech pan gdzieś to schowa!" i na ulicę. Rozglądam się czy ktoś mnie goni. Nikt. Poleciałem do końca ulicy - nadal nikt. Wobec tego poszedłem do jedyne go człowieka, którego tam znałem, bo Stanisławów był dla mnie miastem zupełnie obcym. Tam, gdzie nas zaprowadzono, gdy przyjechaliśmy z naszym dowódcą. To był człowiek z tamtejszej AK. Pamiętałem piętrowy domek, w którym zajmował właśnie piętrowy i pamiętałem wtedy jego pseudonim, którego dzisiaj już sobie nie przypominam. Pukam do drzwi mieszkania, otwiera mi jakaś kobieta. Pytam się: - "Czy mogę się zobaczyć z panem" i tu wymieniam jego pseudonim. A ona, przerażona, odpowiada: - "Tu taki pan nie mieszka!" Ale w tym momencie gdy ona to mówi, widzę jak z drugiego pokoju wychodzi ten człowiek, którego szukałem. Poznał mnie. Mówi więc: - "W porządku." Okazało się, że wiedzieli już o wsypie, o tym, że nas dwóch zaarrestowano. Dowódca już był zawiadomiony. - "Niech pan zejdzie na dół. Ja za chwileczkę wyjdę z domu. Pan za mną ale nie bliżej niż 50-60 metrów. Ja pana zaprowadzę. Tutaj pan nie może zostać". Dobrze. Wokół tego budynku było spore pole, bo tam budowano nowe domy, ale nie wszystkie parcele były już wykorzystane. Rzeczywiście po krótkim czasie wyszedłem z domu i doprowadziłem mnie do jakiejś ciotki czy siostrzenicy "Uszki", pani Wilczewskiej. Ona już wiedziała o wszystkim. Wsadziła mnie do takiego pokoju, w którym zgromadzone były nieużywane meble. Był on zamknięty na klucz. Po trzech dniach dostałem od niej butelkę samogonu i miałem jechać do Lwowa. Pani Wilczewska miała dwóch synów. Otrzymałem legitymację jednego z nich. Posłali mnie do umówionego fotografa, miał on jeszcze prymitywny aparat na pompkę, który zrobił

mi zdjęcie. Zostało przyklejone na legitymacji, ktoś mi dorobił rąbek pieczęci, tak że miałem jakiś dokument.

Poszedłem przez most za miasto czekać na jakieś samochody. Zatrzymywało się w ten sposób, że gdy ktoś nadjeżdżał to podnosiło się butelkę. Ze mną czekał jakiś Żydek, w moim wieku. "Gdzie pan jedzie?" "Do Lwowa." "To możemy razem jechać! Potem okazało się, że ten Żydek posiadał zezwolenie na przejazd do Lwowa podpisane przez tego oficera sowieckiego, który mnie aresztował. Zatrzymaliśmy samochód, który jednak dość szybko skręcał z lwowskiej trasy. Ten Żydek był stamtąd, gdzieś w tamtych rejonach przetrzymał wojnę, więc zorientował się. Tak długo walił w pakę, aż się zorientowali i wysadzili nas. Jego wódka przepadła a byliśmy dopiero 10 czy 15 km za Stanisławowem. Musimy czekać na następną okazję. Postanowiliśmy przejść kawałek piechotą. Idziemy koło polowego lotniska. Obok szosy, na łące stoją samoloty. Nagle z rowu, niezauważony przez nas, wychodzi Sowiec. "Wy kuda?" "W garod Lwow" - tłumaczy się ten Żydek. "Niet, nado wierniotsja abratno". Musiałbym wtedy wrócić presto w łapy tego, któremu uciekłem. Sowiec nie chce słuchać Żydkę, a ten klaruje: - "Ja mam tutaj zaświadczenie komendira!". Żołnierz: - "Nado ujezżat' abratno!" Nagle, nie wiadomo skąd, jak spod ziemi wychodzi oficer: - "Czto szk takoje?". - "A dwóch takich, muszą wracać do Stanisławowa." Lotnik czyta zaświadczenie tego Żyda. - "Ja znaju etowo kamendira". Na szczęście znał tego żłoba, który wystawił przepustkę /a mnie aresztował/. - "Eto prawilno. Pust, jedut w garod Lwow." Żołnierz nas puścił. Poszliśmy dalej, starając się nie patrzeć na te samoloty. Za lotniskiem dogonił nas ciężarowy samochód. Machamy tą moją wódką. Zatrzymał się. Wieźli nim rannych żołnierzy sowieckich. Ci ranni byli w okropnym stanie, nikt się nimi nie zajmował. Kierowca - wariat, jechał ostro i gwałtownie kxx hamował. Doszło do tego, że w pew-

nym momencie jeden z rannych zleciał na ziemię. ^{z samodzieln.} - "Niczewo!" Kierowcę interesowała tylko "wódka". Pamiętam, że trzymał kierownicę a jednocześnie popijał tę wódkę. W takich warunkach raczej nie byłbym skłonny poprawiać go. Dowieźli nas do Lwowa i tak się skończyła moja partyzancka eskapada.

Gdy uciekłem ^{w Stanisławowie} to mój kontakt z Romanem Dmytrachem urwał się. On został w "Smerszu". Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się od "Uszki" o jego dalszych losach. Nie widziałem się co prawda z kpt. Wilczewskim bezpośrednio, ta opowieść została mi przekazana przez drugą osobę. "Uszka" już się u nas nie pokazał. Wiem, że był we Lwowie, ale głównie przebywał w okolicach Stanisławowa. Znam relacje kolegów, którzy tam do niego jeździli. W następnym roku, gdy ja byłem w lagrze, to ^{"Uszka"} ~~on~~ został wraz ze sztabem AK aresztowany na ul. Jabłonowskich we Lwowie. NKWD otoczyło mieszkanie. "Uszka" i jego łączniczka wykorzystali pigułki z arszenikiem i nie oddali się Sowietom, a resztę ^{obecnie} aresztowano i wywieziono.

Wracając do losów Romana. Po mojej ucieczce zrobił się straszny szum. Gdy tylko dotarła wiadomość o tym to wezwali jakieś posilki aby zrobić szczegółową rewizję. Wilijkę tą sprawdzali od strychu do piwnic. Zaczęli też ^{bardzo natrętnie} ~~surowo~~ przesłuchiwać Romana. Co chwilę jeden, drugi, trzeci śledczy. Trwało to do nocy. W końcu mieli go odprowadzić do komendantury, które mieściła się za rzeką, na skraju miasta. Most był zbombardowany czy też spalony, w każdym razie nie można było z niego korzystać. Zrobiono wąską, prowizoryczną kładkę dla ruchu pieszego. Można ~~szkaza~~ było korzystać iść tylko w jedną stronę. Wobec tego kierowali ruchem, raz zezwalając na przejście w jednym kierunku a potem w drugim. /.../ ^{Romanowi} ~~do~~ ^{była} ~~była~~ godzina pierwsza czy druga w nocy, gdy kazali ~~mi~~ się ubrać i poprowadzili pod ^{korci} ~~stronę~~ trzech sowieckich żołnierzy z pepeszami. Gdy konwój dotarł do kładki okazało się, że trzeba się

zatrzymać, ponieważ akurat był prąd przechodniów w przeciwną stronę. Żołnierze postanowili zapalić. Postawili pepesze między nogami i zaczęli sobie robić skręty. /.../ On to wykorzystał - był zwinny /były bokser/ i zaatakował ich, tak rozdając ciosy, że wszyscy trzej konwojenci przewrócili się. Roman uciekł w pole, pobiegł przez jakieś kartoflisko, w pewnym momencie potknął się i jak długi wywalił pomiędzy kartofle. W tej samej chwili przeszła nad nim serża, widząc żołnierze pozbierali się. Na szczęście nie trafili go. Postrzelali jeszcze trochę ale na ślepo, nie widzieli go. W ten sposób mojemu koledze także udało się uciec.

Te moje przygody zakończyły się wkrótce przed rozpoczęciem roku akademickiego. Ja byłem po pierwszym roku weterynarii ukończonej za okupacji niemieckiej - Tierärztliche Fachkurse. Rosjanie wkrótce po swoim wkroczeniu uruchomili znowu Wietierinarnyj Institut. Trochę się obawiałem, bo moje dokumenty zostały w Stanisławowie i NKWD mogło mnie szukać ale studiować mogłem tylko pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Wobec tego po prostu się zgłosiłem.

22.XII. 1944 r. jako student II roku udawałem się na ostatnie zajęcia przed świętami. Miały to być ćwiczenia prosektoryjne. W teczce miałem jedynie fartuch, skalpel i pincetę. Szedłem piechotą bo to nie było daleko z Górnego Łyczakowa, gdzie mieszkałem. Miałem skręcić w ul. Piotra i Pawła prowadzącą do Cmentarza Łyczakowskiego. Koło cmentarza biegła ul. Kochanowskiego, która prowadziła m. in. do miasteczka akademickiego, gdzie i weterynaria miała swoje kliniki. Było koło godziny ósmej rano. Schodzę od strony Łyczakowskiej ulicą Piotra i Pawła, gdy widzę, że po przeciwnej stronie ulicy idzie mój kolega z weterynarii Kazik Korbecki. Idzie w towarzystwie trzech cywili w futrzanych czapkach charakterystycznych dla Rosjan, ale w czasie wojny też takie czapy nosili nasi. Zbliży się do mnie - idą w przeciwnym kierunku - i mówi: - "Serwus Staszek!" Odpowiadam: - "Cześć!" Widocznie chciał zostawić po sobie ślad. Ale

temci zaraz zrobili w tyż zwrot: - "Chodź z nami!" i zabrali mnie razem z nim. Wszyscy trzej byli w cywili, ale pokazywali broń, pistolety, żebyśmy nie próbowali uciekać, bo będą strzelać. Prowadzili nas piechotą. Na ul. Łyczakowskiej napotkaliśmy prof. Włodzimierza Kuczera, wykładowcę fizyki, Ukraińca. Ukłoniliśmy mu się pięknie, żeby nas zauważył. Później, podczas przesłuchania, pytano mnie kim był ten mężczyzna, któremu się kłanialiśmy. Odpowiedziałem, że naszym profesorem z uczelni. Zaprowadzili nas na ul. Pełczyńską. Był tam przedwojenny gmach Miejskich Zakładów Elektrycznych, który za Sowietów był zajmowany przez NKWD, za Niemców przez gestapo i teraz ponownie przez NKWD. W budynku tym mieściły się jakby biura tych służb specjalnych, był to wstęp do więzienia, które znajdowało się niedaleko - na ul. Łąckiego róg Tomickiego i Kopernika. Najstraszniejszego więzienia Lwowa. Na Pełczyńskiej zamknęli mnie w osobnym pokoju i przez dwie czy trzy godziny nikt ode mnie nic nie chciał. Jedynie wchodzili rozmaici Sowieci, oficerowie. Nic nie mówiąc patrzyli na mnie i wychodzili. Takie zmięczenie. Dopiero po jakimś czasie, już pod wieczór, zaczęto spisywać moje personalia. Odebrano mi wszystkie drobne przedmioty jakie miałem przy sobie. Pytali mnie skąd jestem i czy wiem kim jest Kazik. Mówiłem, że to mój kolega z roku. Było to trochę nękające ale widocznie nie mieli na mnie żadnego haka. Nikt mnie nie zapytał o Stanisławów, ani wtedy ani do końca pobytu w ich rękach. Podejrzewam, że gdy im dwóch zatrzymanych uciekło, to oni wtedy zniszczyli papiery, bo sprawa była dla nich dość kompromitująca. Tak się domyślałem, bo znając te służby było nie do pomyślenia, żeby człowiek raz wpadł pod własnym nazwiskiem i żeby tego potem nie drażyli.

Niemniej wezwali mnie ponownie w nocy. Tym razem było ich dwóch. Przy mnie ładowali rewolwery, pamiętam że to były sześciopalcowe. Potem przyszedł jeszcze jakiś żołnierz. Odprowadzali nas dwóch czy trzech. Nie było jednak pośród nas mojego kolegi. Po raz ostatni

Kazika widziałem, gdy przyprowadzono nas na Pełczyńską. Zdążyliśmy jeszcze ustalić, że znamy się jedynie z uczelni. On był synem zawodowego wojskowego, chyba sierżanta. W ich domu był ~~pub~~ konspiracyjny punkt kontaktowy, który odkryli Sowieci. Aresztowana została cała rodzina K_orbeckich: ojciec, który zmarł wywieziony do lagru; matka, której po obozach udało się wrócić do kraju oraz obaj synowie - mój kolega Kazik i jego brat Mietek. Znałem ich obu bardzo dobrze, jeszcze z czasów przed-uczelnianych.

Była godzina druga w nocy. Idąc ulicą Tomickiego już domyśliłem się, że prowadzą nas do więzienia na Łąckiego. Konwojenci walą w drzwi, jakiś zaspany Sowiec otwiera. Wprowadzili nas do sali, do której przyszedł jakiś starszy enkawudysta. Kazał się nam rozebrać do rosołu. Sprawdzał każdy załamek koszuli, każdą kieszeń. My, we dwóch czy trzech, rozebrani do naga czekaliśmy aż skończy. Ale mało tego. Potem kazał nam stanąć tyłem, zrobić ~~przez~~ skłon i przysiad. Zglądał tam, gdzie diabeł nie zagląda, czy przypadkiem **człowiek tam SOBIE CZEGOŚ** nie wsadził. Było to dla mnie pierwsze zetknięcie się z sowieckim reżimem więziennym. Poszliśmy do cel bez niczego, nie można było zabrać ani kawałka ołówka, ani papierka, ani nic takiego. Zabrali mi pasek, a że spodnie miałem troszeczkę za duże musiałem je bez przerwy podtrzymywać. Niby to drobna rzecz, ale to jest bardzo uciążliwe i denerwujące. Potem rozpoczęła się wędrówka. Więzienie śpi. Słysząc jakieś przesłuchania, jakieś krzyki ale daleko - może ze dwa piętra wyżej. Idziemy z pierwszego piętra /gdzie nas przyjmowali/ jakąś krętą boczną klatką schodową na piętro piąte czy szóste /nie pamiętam - w każdym razie najwyższe/. Potem jakimś korytarzem. Za każdym korytarzem staje się przed żelazną kratą, którą pilnujący musi otworzyć. W ciszy trzaski zamków tych krat aż dźwięczały w uszach. Idziemy dalej, za nami zamykają tę bramę. Gdy napotykalismy jakiegoś prowadzonego więźnia, to zatrzymywali nas, kazali odwracać się twarzą do ściany k, pod-

nosić ręce i nie odwracać się. Chodziło o to, żebyśmy przypadkiem nie zobaczyli tego, którego prowadzą. Takich spotkań po drodze mieliśmy pięć czy sześć. Prowadzili nas strasznie okrężną drogą. Na dół, do góry, naprzód i do tyłu. Chodziliśmy ze 20 minut po budynku, wciąż otwierali i zamykali za nami te wrota z krat. Przypuszczalnie robili to po to, aby człowiek się zgubił. Właściwie mógłbym się zgubić, gdyby nie to, że miałem to wszystko w nosie. W końcu schodzimy na dół, na dół, aż do piwnic. Prowadzą mnie korytarzem piwnicznym, smród i piwnicy i ludzi, którzy tam siedzą. Pierwsza moja cela ~~to był~~^{miata} numer 7. Otwiera przede mną drzwi, przede mną jest zupełna ciemność. Strażnik mnie mocno pchnął, tak że musiałem zrobić dwa czy trzy kroki. Nie wiedziałem, gdzie idę. Czy zaraz wpadnę do jakiejś dziury, czy będę miał ścianę przed sobą czy wodę. Zatrzymałem się i stoję. Za mną zamykają się drzwi celi. Zupełna ciemność - z półmroku światełek korytarza zostałem wtrącony do absolutnej ciemności. I cisza. Za to jest tu straszne powietrze. Po prostu gęste od wydechów ludzkich. Stałem tak z minutę. Słyszę kroki odchodzącego strażnika. Wtedy dopiero sala ożyła.

Słyszę jakieś szepty z jednej strony, z drugiej - już wiem, że jest tu wielu ludzi. W końcu trzask zapałki. Dopiero w tym momencie, gdy w świetle jedynej zapałki zobaczyłem wprost zbójckie brody dawno już siedzących ^{tu} więźniów, to zdałem sobie sprawę jak długo można tu posiedzieć. Zaraz się zaczęło: "Jak pan się nazywa? Skąd pan jest? Z jakiej ulicy? Co tam słychać? Co się w tej chwili dzieje? Co w Polsce?" Ci ludzie byli zupełnie odcięci od świata. Nie bardzo chciałem odpowiadać, bo nie wiedziałem do kogo mówię. Powiedziałem tylko, że zostałem aresztowany poprzedniego dnia i że jestem studentem. Znowu rozległ się chór pytań: "czy znam tego, tamtego". W końcu uspokoiło się. Zapałki się wypaliły, jest ciemno a ja szukam miejsca, gdzie mógłbym się położyć. Okazało się, że sala była

tak wypełniona, że ludzie musieli leżeć na jednym boku a trzech i tak musiało stać, bo już nie było dla nich miejsca aby się położyć. Ostatni, który przyszedł musiał stać. Zresztą nie było mi nawet wtedy w głowie szenie. Staliśmy koło muszli klozetowej, mokrej i cuchnącej /w tej celi była kanalizacja/. Gdy trochę się uspokoiło ludzie zaczęli usypiać. Ja kucnąłem sobie i czekam do rana. Rano zrobiło się troszkę jaśniej. Oświetlenie było bardzo kiepskie - okno zabite deskami, tak że widać było tylko skrawek nieba.

Zaczął się monotonne więzienna życie. Wikt okropny. Rano jakaś woda, wstrętne to, cuchnące, tzw. "kawa". Czarny wywar z żołądźli chyba. To plus kawałek czarnego chleba stanowiło śniadanie. Obiad - chochła śmierdzącej nalewki, bez mąki. Jedzenie pod psem. Tak okropne, że kto przychodził nowy nie jadał tego tak długo jak mógł wytrzymać. Celka była mała, miała może trzy na pięć metrów. Musieliśmy podginać nogi, żeby się położyć w dwa rzędy. Było nas w niej do 50 osób.

Apel poranny - liczenie, potem spacer - nikt nam tego nie kazał, to już był taki zwyczaj panujący wśród więźniów. Robiło się koko i ludzie szli, prawie jeden na drugim. Było to wyrozumowane, że trzeba się troszkę ruszać. Potem obiad i wieczorem, gdzieś koko piątej, znów ta "kawa". Jedyną atrakcją było wyczytywanie na "depros". Drzwi się otwierały i padało : -"Więzień na bukwu Be", każdy zaś na B musiał podchodzić do strażnika i podawać swoje nazwisko. Gdy strażnik trafił na właściwego człowieka to go zabierał. Nazwisk nie używano./~~xx~~.../

Pobyt skracałiśmy sobie opowiadaniem. Ludzie opowiadali - jak w każdym chyba więzieniu - swoje przeżycia, wspomnienia z domu, czy na przykład opowiadali co i jak jedli - to ostatnie niektórych denewowało. Opowiadaliśmy sobie też żarty. Każdy miał wyznaczoną turę opowiadań i tak się skracało beznadziejnie nudny czas.

Aresztowano mnie w okresie przedwigilijnym, miałem już kupioną

choinkę. Pomimo, że nie wolno nam było śpiewać, to jednak w wieczór wigilijny zaczęto cicho, murmurando śpiewać kolędy. Najpierw w naszej sali. Potem te kolędy mrużane, śpiewane, coraz głośniej i głośniej. Przez otwarte, mimo zimy, okna dochodziły głosy z innych sal. Po krótkim czasie słychać było jak całe więzienie śpiewało kolędy. Kolędy pełne gorczy, smutne, powolne. Do tego dołączyli Ukraińcy, śpiewali razem z nami polskie kolędy a gdy myśmy przestali, to z niektórych sal słychać było ukraińskie. Strażnicy pieklili się. Gonili z celi do celi, ale jak w jednej śpiewy trochę przycichły, to w innej się rozlegały. Nie mogli sobie dać rady. To było troszeczkę ~~krzepiące~~ kę krzepiące na duchu, ale ani sobie, ani nikomu innemu nie życzyłbym takich przeżyć.

Odgłosy dobiegające nas przez okna były czasami tragiczne. Raz, późną nocą, była druga czy trzecia w nocy, kogoś torturowali. Ten więzień strasznie krzyczał, nie wiem czy go bili, czy straszili. Straszne krzyki, potem cisza. Potem odgłos polewania wodą i znów krzyk. Znów cisza. Trwało to wszystko chyba ^{ponad} ~~o~~ godzinę. Mimo, że siedziało tam wielu starych więziennych wygów, to wszyscy stracili humor, nikt nie mógł spać. Co pewien czas rozlegał się ten straszny krzyk. W celi ^{naszej} panowała grobowa cisza.

Oczywiście byłem wzywany na "doprośy". Pierwszy "dopros" miał ze mną ten, ^{ankawudysta} który mnie aresztował. Cywil, w futrzanej czapce, chudy, blade, o gruźliczej cerze. Major Kozłowski /przynajmniej tak się przedstawiał/. Miał przyklepione do języka te propagandowe bzdurstwa, których używali na wiecach. Trochę mnie straszyl. Mnie w ogóle nie bito, jedynie straszono. Próbowali mnie przypisać do organizacji, razem z Korbeckim. Potem śledczy się zmieniali ale pytali cały czas o to samo. Z piętnaście razy byłem wzywany na przesłuchanie i zawsze w nocy. To trwało zwykle z pół godziny, trzy kwadransy. Światło padało mi prosto w oczy. Śledczy siedział w cieniu i obserwował mnie. Śledztwo odbywało się co dwa, trzy dni. Innych, zwłaszcza aresztowa-

n^{za pracy}ych z organizacji, czy to Polaków, czy Ukraińców ^{dopelnione} - bito.

W mojej celi był m.in. ojciec Korbeckiego. Był wtedy chory, chyba na cukrzycę, polegiwał cały czas. Potem mnie nawet wziął koło siebie, leżeliśmy razem. Troszeczkę mnie instruował, żebym nic nie mówił. Było też dwóch Ukraińców, nacjonalistów, inteligentów, których straszliwie bili. W porównaniu do nas, do Polaków, byli oni wprost katowani. Przynoszono ich z przesłuchania ^{po automatycznie} na desce. Potem pięć-sześć-siedem dni leżeli, nie mogli wstać. Wzywano ich na "doprosy" dość często. Za każdym razem wracali nie o własnych siłach. Często zdarzało się, że wstawiali nam ludzi rzekomo z innych cel, którzy u nas siedzieli dwa-trzy dni. To byli szpicle, których wszyscy się wystrzegali. Pewna część więźniów dostawała paczki z domów. Jednak te straszne warunki powodowały, że wśród ludzi nie było litości. Każdy bał się o siebie i trzymał to, co dostał na czarną godzinę. Były przypadki, że ludzie się dzielili ale nie ze wszystkimi. Ze swoimi kumplami więziennymi lub ze znajomymi z wolności. Ponieważ byłem wzięty z ulicy, więc nie miałem niczego. Ubrany byłem w wiatrem podszyty paltocik - a zima ^{robiła się} wtedy straszna. Nie miałem także żadnego jedzenia, przez cały czas byłem wyłącznie na tym więziennym wikcie.

21 stycznia, około dwa tygodnie przed wywózką, przerzucono mnie do innej sali. Znalazłem się wtedy na I piętrze w celi nr II74. Tam zastałem ludzi, którzy potem wraz ze mną zostali wywiezieni do łagru. Był tam przede wszystkim mój profesor gimnazjalny, z 8 gimnazjum, polonista i romanista, Kazimierz Bronczyk. Zastałem w niej również prof. Kozikowskiego, z synem - doc. Kozikowskim. Obaj byli pracownikami naukowymi Politechniki Lwowskiej. Siedział prof. Przybyłowski, który niedawno zmarł w Krakowie. Tam też spotkałem się po raz pierwszy z dr Waligórskim, który był lekarzem w Gródku Jagiellońskim. Później jechał on ze mną w jednym wagonie. Był tam także fryzjer, utykający na jedną

nogę, który potem został fryzjerem obozowym - Szczotka i jego brat, z zawodu drukarz. W sumie było nas w tej celi, większej niż ta w piwnicy, ze 60 osób. Tam, w czasie wieczornego apelu, gdy byliśmy liczeni i musiałem stanąć, ^{w sercu zastąpił} przetrząsnęłam się. Byłem już tak wycieńczony, że zrobiło mi się słabo, pociemniało w oczach i ^{upadłem na podłogę} ~~przetrząsnęłam się~~. W trakcie tego jak dozorca chodził, liczył nas i coś tam gadał. Koledzy mnie podnieśli, podtrzymali ale widząc, że wiszę im na rękach - posadzili mnie. "Pierewierkę" przetrwałem na siedząco. Wtedy profesor Kozikowski coś tam powiedział do syna i ten przyniósł mi kawałek kromki chleba. Nieśli ten chleb w jakimś woreczku. Tuż przed samym wywiezieniem dostałem pierwszą paczkę ^{z domu}. Byłem tym bardzo zdziwiony i było mi bardzo przyjemnie, że matka wie gdzie ja jestem i że potrefiła dotrzeć do mnie. Troszeczkę mnie podreperowała. Tylko, że matka upiekła cwibak, co nie jest pożywieniem dla głodnych ludzi. Współwięźniowie kazali mi napisać na liście rzeczy z paczki, którą musiałem podpisać, iż otrzymałem przesyłkę - "bolsze cziornowo chlieba". Trzeba to było pisać greckim alfabetem, którego nigdy dobrze nie znałem, więc raczej rysowałem litery niż pisałem. Matce odczytali to i dopiero wtedy zrozumiała, że trzeba to inaczej traktować. Zdażyła mi jeszcze podać drugą paczkę, gdzie już był bochenek czarnego chleba, słonina w puszcze, cebula i ciepłe palto nieżyjącego ojca. W sali II7 siedzieliśmy stosunkowo krótko.

3 lutego 1945 r. kazali nam się zbierać, około godz. II, i zaczęli wywozić samochodami. Wieźli nas na skrzyni ciężarówce, przykrytej plandeką ale tył był wolny. Siedzieli tam dwaj czernomarmiści z karabinami. Można było oglądać ludzi normalnie chodzących po ulicy, to podnosiło na duchu. Przywieźli nas na Dworzec Czerniowiecki, to był dworzec głównie towarowy i stąd zwykle szły wywózki. Wyładowali nas z samochodu i przydzielali ^{pod karabinami}

~~Wszystko~~ do poszczególnych wagonów. Pociąg był tak długi, że nie widziałem jego końca. Wagony były okropne, bydłące. Ubikacja zrobiona w ten sposób, że zasuwane drzwi były niedomknięte do końca i w ~~nie~~ ^{szparę} była wstawiona zbita z czterech długich desek kwadratowa rura. Pozostawiona szpara była zabita deskami. Niby to drobna rzecz, ale to było strasznie uciążliwe w korzystaniu. Byli wśród nas ludzie starsi, chorzy, którzy w tym stale trzęsącym ^{się} pociągu nawet nie mogli się jak ^ozłotwić. Na dworcu, przed odjazdem, ciągle nas przeliczano. Wszyscy mówili, że wywożą nas na Sybir. Jakiś starszy pan krzyczał: - "Ludzie! Piszcie listy do swoich, żeby wiedzieli, że nas wywożą na Sybir!" Masę więźniów pisało te listy. Jeszcze na dworcu powyrzucali je, przez szpary koło ubikacji. Ja nie miałem czym ^{i na rury} pisać. Potem, po moim powrocie do Lwowa, opowiadano mi, że enkawudyści chodzili wtedy po dworcu i zbierali chyba sześć worków karteczek pisanych ^{przez} przez wywożonych do swoich rodzin.

4 lutego w ^{jeszcze} nocy wyruszyliśmy ze Lwowa. Już po ruszeniu pociągu jakiś jegomość jadący ze mną pyta się: - "Czy Pan napisze list do domu?" - "Skąd, proszę Pana. Nie mam czym i nie mam na czym pisać, więc nawet nie próbowałem". - "Nic Pan nie napisał?" - "Nie!" Wyjął wtedy z kieszeni kawałek udartej karteczki i dał mi malutki ogryzek chemicznego ołówka. Już się zaczynało szarawo robić więc napisałem drukowanymi literami ten liścik. Musiałem nadgryźć ten kawałeczek ołówka. Napisałem na adres mojej matki /z jednej strony/ i na adres mojej ówczesnej dziewczyny /z drugiej/. Pisałem im, że wrócę niedługo, że wyjeżdżam sam, żeby wiedziały iż nie ma mnie już we Lwowie. Wyrzuciłem to już ^{po godzinie jechania} za miastem ^{po} na trasie w śnieg. Po czterech dniach ten list został przyniesiony do Lwowa na adres mojej aktualnej żony. Przyniosła go mała dziewczynka. Zanim domownicy zorientowali się co to jest, oddawczyni uciekła.

W moim wagonie m.in. jechał kierownik grabarzy /grabarz?/ z

Cmentarza Łyczakowskiego. Świński blondyn, o otyłym byczym karku, z krótko ostrzyżonymi włosami. Znałem go, bo gdy mój ojciec zmarł podczas okupacji to ten właśnie człowiek załatwiał wszystkie czynności związane z pogrzebem. Nazywał się prawdopodobnie Jan Wiczorek. Ten grabarz był u nas starszym wagonu. W każdym wagonie jeden z więźniów został wyznaczony przez konwój jako odpowiedzialny za utrzymanie porządku. Wagony były zimne, niczym nie opalane. Na podłodze nie było nawet słomy a jedynie gołe deschy. Ludzie spali siedząc w kucki. Były dwa okienka, częściowo zabite deskami, ale jak się podciągnęło na rękach, albo podsadzili współwięźniowie to można było coś zobaczyć.

Cała ta jazda była okropna. Przede wszystkim nie mieliśmy wody. Ta podróż nauczyła mnie, że woda jest niezwykle ważnym elementem. Ludzi ogarniało niesamowite pragnienie, tym bardziej że do jedzenia dawano nam tzw. "selotki". To były małe rybki, jak sardynki, taki chwast rybi, surowe, wplątane w glony morskie i posypane solą. Było to bardzo obficie zesolone, bo inaczej by się zepsuło. Były one nam serwowane razem z tymi glonami, w ca-
łych ~~skrawkach~~ ^{skrawkach}. Gdy ktoś nie mógł powstrzymać głodu to jadł je i dostawał straszliwego pragnienia. Po kilku dniach nie otrzymania wody na każdym postoju rozlegały się straszliwe krzyki. Wył wagon za wagonem. Z daleka słychać było walenie w ściany i okrzyki: -"Towarzysze! Wody! Wody! Dawajcie wody!" oraz przekleństwa. Gdy już cały pociąg tak strasznie krzyczał to zaczęli nam dawać śnieg. Konwojent otwierał drzwi i wrzucał wiadro śniegu na podłogę wagonu. Pierwsza taka uczta wyglądała w ten sposób, że ludzie rzucili się ^{podobnie} jak wściekłe psy na mięso i żarliwie ^{ten} śnieg gębami. Jadło może 12 czy 15 osób a reszta usiłowała się doprzeć. Przewracali się, odpychali. Jak w psiarni. Wszyscy słabi, ^{uważ} a takich było wielu, od razu zostali odepchnięci. W końcu "starszy" naszego wagonu, ten grabarz, zdenerwował się i nawet komuś dał w mordę.

zrobić się więźniem,

Doprowadził jednak do tego, że ~~był~~ porządek i każdy musiał dostać swoją porcję. Podchodził, brał w garść śnieg i odchodził. Jeszcze na terenie Polski, w trakcie jazdy, ^{w nocy} nagle się zatrzymał. ^{w szarym polu} Usłyszeliśmy strzały i krzyki. ^{Konwojenci} ^{zaczęli} strzelać rakietami. W wagonach zrobiło się zupełnie jasno. Staliśmy w szarym polu dobrą godzinę. Okazało się - dowiedziałem się tego dopiero w lagrze - że z jednego z wagonów uciekli więźniowie. Wyrwali deski z podłogi /wg jednej wersji/ czy też wyłamali je w bocznym okienku /wg innej/. Uciekło czterech czy pięciu ludzi, prawdopodobnie nie złapali ich. Po tej ucieczce wzmocniono bardzo kontrolę wagonów. Liczenie więźniów odbywało się w bardzo ^{i drastyczny} sposób. Konwojenci zachowywali się bardzo brutalnie. Gdy zaczynało się sprawdzanie wszyscy musieli przejść w jeden kąt wagonu i stać tam ściśnięci człowiek przy człowieku. Żołdaci łapali każdego za rękę i rzucali w drugi kąt wagonu, tak że delikwent ^{wdonął} ~~wdonął~~ o ścianę. Chorzy przewracali się przy tym. Żołnierze z ochrony byli zupełnie inni, niż ci, których mieliśmy możliwość oglądać we Lwowie. Nosili białe kożuchy z baranów i białe czapki. Określali siebie jako "czerezwyczajka" /czy też jakimś innym terminem z okresu bezpośrednio po rewolucji, kiedy powstały te oddziały/. Patrzyli na nas z absolutną pogardą. Zachowywali się tak jakby byli narodem panów a nie narodem niewolników.

ni dalek i trochę swadek ze stonina, która skradziono mi moja mała w polskiej woznicy.

W trakcie jednego z takich epeli okradziono mnie. ^{W nocy} ^{zaczęli} ^{spali} Nawet się poskarżyłem ponieważ byłem pamiętany jako ten młody chłopiec, który zemsta, któremu zrobiło się szkoda i z tej racji miałem trochę współczucia u towarzyszy. "Starszy" wagonu zdenerwował się. Pamiętam jak krzyczał: - "Widzicie, że człowiek jest okradziony, przewraca się! Jak mu można ukraść takie rzeczy?! Jak złapię za mordę to..." Oczywiście nikt się nie przyznał do kradzieży. W nocy ^{zaczęli} ^{spali} wszyscy śpali gdy nagle poczułem, że coś na mnie

Upada. Był to właśnie mój worek, tyle że pusty. Wszystko wyjedzo-
ne, została jedynie puszka ale już bez ~~składnika~~. Złodziej ^{do środka} ~~wzniósł~~
jeszcze ^{butem ścianki} tej puszki. Chciałem odgiąć te zgniecione
ścianki, żeby się zorientować, czy coś zostało i rozciąłem sobie
^{opuszczone} cztery ~~palce~~. W przeciągu bardzo krótkiego czasu dostałem zakaże-
nia krwi. Miałem wysoką gorączkę, taką że nawet nie mogłem przeł-
knąć śliny. Na ręce zrobiły mi się ^{czernole} pręgi. Dr Waligórski ^{jadący ze} powiadał,
ze ^{nie} mi nie może pomóc, bo nie ma żadnych leków. Zaordynował
więc jedynie zimne okłady. ^{ze śniegiem} Zostało ^{za} powiedziane, że jeżeli wrzucą
nam śnieg do wagonu, to trzeba trochę zostawić dla mnie. Rzeczy-
wiście przy najbliższej okazji dostałem garść tego śniegu i przy-
kładałem go sobie. ^{do składowej rezerwy} Jakoś to wytrzymałem, młody organizm zwalczył
infekcję. W czasie jazdy gorączka mi przeszła, zaczerwienienie -
typowe dla zakażenia krwi - ustąpiło.

^{W wagonie} ~~W wagonie~~ z nami jechał starszy człowiek, 74 letni dzie-
dek z Zimnej Wody. Chorował już, gdy nas wywożono, mimo to jednak
został wysłany na etap. Dziedek ten umarł nam z pragnienia, głodu
i osłabienia. Mówiliśmy konwojentom, że mamy zmarłego i chcemy go
usunąć z wagonu. Odpowiedź brzmiała: - "Nie, ^{leż} nie ważno" i trup
tego dziadka jechał z nami aż do Krasnodonu. Koło jego zwłok mu-
sieli spać współwięźniowie. Taki to był ^{wasz} ~~XX~~ wiek.

Na ~~tych~~ stacjach do których dojeżdżaliśmy musiano zapowiadać
nas jako transport Niemców. A staliśmy zwykle dosyć długo, bo
pierwszeństwo przejazdu miały transporty wojskowe - wojna jeszcze
trwała. Podczas tych postojów posłyszeliśmy mnóstwo więzank od
miejscowej ludności wyzywającej nas od faszystów ^{i Niemców}. Tymczasem w
transportcie tym jechali sami Polacy, nawet Ukraińców wśród nas nie
było. Jechali ludzie bardzo różni, inteligenci i robotnicy ^{z Lwowa}.

Wreszcie 11 lutego 1945 r. dojechaliśmy do stacji docelowej,
którą okazał się Krasnodon w obłastii wercszyłowgradzkiej w Don-
basie. Cały nasz transport wielkości 1800 - 2000 osób wysadzano z
wagonów. Profesor Bronczyk, który jechał w sąsiednim wagonie, aż

ai zalemał ręce gdy mnie zobaczył: - "Stasiu! Jak ty wyglądasz!"
Widocznie musiałem mieć wygląd trupiszona. On co prawda też nie
wyglądał lepiej ode mnie. Tam dano nam wreszcie po raz pierwszy
wagtek ("kipiastek"). Przywieźli brudne puszki po "ewinnój tuszonej" ^{stosowane} jako
naczynia i nalewali do nich gorącą wodę, tak że trzymać to trze-
ba było przez jakąś szmatę. Piliśmy. Czuję jak ta życiodajna woda
rozchodzi się po ciele, zaczyna krążyć po żyłach. To było wspania-
łe uczucie. Nigdy żadna ucztę nie dała mi tyle satysfakcji, ^{z życia} takiego
poczucia błogości, jak ten moment, gdy piłem tą gorącą wodę.
Wszyscy oniemieli i tylko pili. Było to nasze pierwsze pożywienie
po drodze, które nas niesamowicie wzmocniło.

Rozdzielano nas tam na grupy, wyczytywano, sprawdzano według
list - wszystko to trwało cały dzień. W końcu zostaliśmy przepę-
dzeni do lagru. Lagier otoczony ^{był} drutem kolczastym, ^{został} opróżniony na
nasz przyjazd. Stały w nim dwa duże mурowe budynki, z kamienia,
lepione chyba gliną. Były one jednopiętrowe. Jeden został przezna-
czony dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Ponieważ kobiet było mniej,
to w ich budynku została wydzielona część na szpital. Pomiędzy
budynkami znajdował się plac, na którym odbywały się apele.

Po przyjeździe ^{zaczęła pracować} ~~odbywała się~~ komisja kwalifikująca do pracy.
Nie odbywało się to jednak zbyt szybko. Dopiero 26.II. przydzie-
lono mnie na "szachtę 154" jako "Szabojszczika", górnika przodowe-
go. Potem znów jakaś zwłoka, bo mam zapisane, ^{o moich lagrowych notatkach} że początek pracy
dopiero 6.III.

Prawie od samego początku zaczęła nęgninnie występować wśród
więźniów choroba, której początkowo nasi lekarze nie potrafili
określić a potem nazwali dystrofią. Była to po prostu choroba
głodowa. Objawami charakterystycznymi były krwawe biegunki, ² bardzo
duże wychudzenie i olbrzymie obrzęki nóg. ^{zastoinowe} Obrzęki ~~stały~~, ¹ ~~gdy~~
się przycisnęło palec do dolnych części kończyn to po jego cofnię-
ciu zostawał w ciele dołek. Choroba ta szczególnie ostro przebiega-
ła u ludzi starszych. Zaczęli oni masowo umierać. Mieliśmy bardzo

wiele pogrzebów, do kilkunastu dziennie. Wyglądały one tragicznie. Odbываły się ~~one~~ w nocy, żeby ludzie z lagru ich nie oglądali. Dotej pracy wybierano młodych, najbardziej sprawnych więźniów. Ściągano ich w nocy z prycz. Musieli żedować po dwie, trzy osoby na wózek, którym w dzień przywożono chleb z piekarni do lagru. Ponieważ działo się to w nocy, kiedy człowiek miał prawo do odpoczynku, (bo przecież rano znowu trzeba było iść na zmianę do kopalni) ^z ponieważ była to zima, zmarznięta ziemia - więc grzebano zwłoki bardzo płytko. Ludzie starali się jedynie wystukać płytką dziurę kilofami, na jakieś 20 cm, tak żeby obłożyć ciało ziemią. Nie pozostawiano żadnych śladów, że w danym miejscu jest grób. Dookoła obozu był step i na nim BŚg wie ile grobów. Cała przes~~ese~~ trzeń dookoła lagru była nimi usiana. Wiele razy brałem udział w pochówku, były takie nocę, kiedy trzeba było pochować 10-11 zwłok. Gdy zrobiło się ciepłej to śmiertelność nieco spadła, ale w te początkowe dni naszego pobytu, kiedy jeszcze były wichry... W trakcie jednego z zimowych pogrzebów wieźliśmy starą kobietę i mężczyznę. Trupy były sztywne jakby z drewna. Konwojent postanowił "zażartować". Stwierdził, że "budiet łuczszje" jeśli babcię pochowamy brzuchem do góry a na nią położymy ^{udiet'} dzidka. "Będzie ^{aw} starudką przyjemniej".

Dzięki temu, że byłem młodym człowiekiem i jadłem "selotki", które dawano nam ~~razem~~ w obozie, to jakoś się trzymałem. Niektórzy współwięźniowie, po doświadczeniach z transportu, nie chcieli ich jeść, mimo że w lagrze mieliśmy swobodny dostęp do wody. Były tam lokalne wodociągi. Poza wspomnieniami swoją rolę odgrywało obrzydzenie - te ryby były przecież surowe. Ja jako student weterynarii wykombinowałem sobie, że w lagiernianych warunkach jest to jedyne źródło jakichkolwiek witamin. Dlatego jeżeli ktoś odstępował swoją porcję to brałem ją i jadłem, chociaż było to rzeczywiście świństwo nie z tej ziemi. Jednak ta postawa nie ura-

towała mnie. Wystąpiły u mnie obrzęki i objawy dystrofii, tak że poszedłem do szpitala. W swych notatkach mam zapis, że 23.III zwolniono mnie z pracy w kopalni do szpitala. Gdy mnie trochę podreperowali, to wróciłem do pracy na tzw. "stroitelstwo", tartak mieszczący się przy kopalni. Pracowało się tu jednak na powierzchni.

Wymarsz do pracy do kopalni odbywał się w następujący sposób. Ustawialiśmy się przed bramą obozu czwórkami, jeden taki wychodzący oddział liczył około 100 osób. Otoczeni byliśmy przez sowieckich żołnierzy uzbrojonych w karabiny z bagnetami. Szef warty wygłaszał zawsze zwyczajową formułę: - "Tiszie! Tiszie!". Najpierw wzywał, żeby się uciszyć, bo w tej kolumnie panował zwykle rozgardiasz, spotykali się tam i mężczyźni i kobiety. - "Wnimanie Wnimanie!" Krzyczał to tak długo aż ludzie ucichli. Początkowo nie wiedzieliśmy zupełnie o co chodzi i potrafili powtarzać to wezwanie z 10 razy. - "Wnimanie! Prieduprieżdaju! Za niepodczinienie triebowaniju konwoja i najmiejszu papytku pabiega konwoj pri-nimajet orużja. Paniatno?!" Początkowo nie wiedzieliśmy o co cho-
odpowiadać, zrozumieliśmy tekst i w porządku. On jednak uparcie powtarzał: - "Paniatno?", aż więźniowie nie odpowiedzieli chórem: - "Da!" Wtedy podeszła komenda: - "Szagom marsz!" W początkowym okresie naszej pracy ten enkawudysta potrafił z rosyjskim uporem dziesięć i piętnaście razy powtórzyć tę formułę zanim więźniowie odpowiedzieli: - "Da!" Czasami celowo gadaliśmy, aby cały ten ob-rządek przedłużyć.

Następował ^{wreszcie} wymarsz do roboty. Latem to było pół biedy - szło się na wprost przez step, bo kopalnie było widać na horyzoncie. Odległość do nich z obozu wynosiła około 5 km. Gorzej było zimą. Szło się na przekaj, brodząc w strasznym śniegu, po kolana albo i wyżej. Drogi żadnej nie było. Jedyne ułatwienie jakie mieliśmy, to takie, że szliśmy po śladach poprzednich grup. Do roboty czasami się wychodziło w nocy, a czasami w dzień.

Praca w kopalni trwała całą dobę, dzień i noc, zmieniały się tylko załogi. Jedna zmiana trwała 10 godzin. Nas wszystkich, gdyśmy przyszli z łagru kierowali ^{do pracy} na jeden odcinek. Po nas mogli kierować grupy z innego łagru na inny odcinek w tej samej kopalni jednak nie wiedzieliśmy czy tak było, ^{raczej nie} bo nie mieliśmy kontaktu pomiędzy poszczególnymi oddziałami. ^{Chodziło głównie o umożliwienie spotkania wędrowni z innymi łagru}

Początkowo pracowałem na kopalni "I54". To była bardzo prymitywna kopalnia, bez windy. Schodziło się do niej pochyłym korytarzem o długości 2 - 3 km o spadku około 45 stopni. Na dole były chodniki. Czołgało się nimi na łokciach i na kolanach, znowóz pod kątem 45 stopni mniej więcej, ale pod górę. Wynikało to z tego, że pokłady węgla ^{były bardzo niskie} miały grubość ok. 60 - 70 - 80 cm i były pochyłe. Byliśmy zaopatrzeni w latarki naftowe, tzw. "kopciaki". Mieliśmy także ubrania robocze, spodnie i bluzy ze sztywnego brezentu, bo ta kopalnia była bardzo mokra. To ubranie bardzo szybko nawilgało i robiło się takie sztywne, że ^{bardzo ciężko} nie można było w tym chodzić. Urobek zrzucano się do rynien, spadał nimi do głównego korytarza. Tam już były położone szyny, po których kursowały wagoniki wyciągane za pomocą prowizorycznej windy ^{- koto w roku} na powierzchnię. Na powierzchni wyrzucali węgiel z wózków na hałdę a z niej ładowali do wagonów kolejowych. Do kopalni była bowiem doprowadzona bocznicą kolejowa.

Czasami można było usłyszeć wielki huk w tej rynnie, gdy wrzucono do niej zbyt dużą bryłę węgla. Taka bryła potrafiła ^{spadając} wyskoczyć z drewnianej rynny i spadać chodnikiem wybijając po drodze stemple. Słychać było wówczas hurkot ~~z~~ lecącego węgla i okrzyki: - "Wnimanie! Wnima-
-nie! Uwaga! Uwaga!" Dochodziło też do innych wypadków. Zdarzyło się, że na poprzedniej zmianie pracowali Rosjanie, którzy dynamitem wyse-
dzali ścianę. Zdażyli załadować dynamit i właśnie nastąpił koniec ich pracy. Przyszła następna zmiana ale oni odchodząc nic nikomu nie powie-
dziali, że ^{wszystko} jest przygotowane do odpalenia. Jeden z naszych ^{więźni},
pracujący tak jak ja jako "zabojszczyk" nic o tym nie ^{wiedząc} ~~wiedząc~~ ^{uderzył}

zaczął pracować kilofem. Trafił w ładunek i doszło do eksplozji. Strasznie pokiereszowanego wywieziono go z kopalni - ten moment widziałem własnymi oczami. Słyszałem, że podobno wyżył.

Za pracę w kopalni, pomimo że byliśmy więźniami, otrzymywaliśmy wynagrodzenie. Raz na miesiąc naliczano nam pensję - zależało to od stopnia zaangażowania w wykonaniu planu. Myśmy się specjalnie do pracy tam nie przykładali ale liczone nasze wyniki łącznie dla całej kopalni, łącznie z wolnymi. Na podstawie notatek z tamtego okresu mogę przytoczyć ile to wynosiło. Miesięcznie otrzymywałem 50 - 60 rubli. Należy wziąć pod uwagę, że bochenek chleba kosztował tam wtedy ok. 70 rubli. Zapłata za tą robotę była więc po prostu śmieszna. Nie dość tego - za te pieniądze nie mogliśmy nic kupić. Nie było tam żadnej kantyny a myśmy nie mieli możliwości dotarcia do sklepu. Pieniądze wobec tego były wykorzystywane w ten sposób, że od miejscowej ludności - pracowników kopalni - kupowaliśmy np. gotowaną kukurydzę, którą przynosili jeszcze ciepłą. Dla nas kupienie takiego kaczana było prawdziwym rarytasem. Kupowało się też od wolnych kawałki chleba lub mleko.

Górnicy dostawali 1 kg chleba na dzień. Otrzymywaliśmy go rano. Była to chyba 1/4 lub 1/5 bochenka. Grubość takiej kilogramowej kromki wynosiła około 5 cm. Nigdy nie widziałem tak ciężkiego chleba. Był on bardzo mokry. Wszyscy inni, nie zatrudnieni na dole - np. pracujący 12 godzin w tartaku - otrzymywali dziennie po 600 g chleba. Przy zupełnym głodzie, przy pieku tylko gorzkiej lury mającej imitować kawę i wstrętnej śmierdzącej wody udającej zupę /była to jakaś zalewajka z mąki/ nasza sytuacja była bardzo ciężka. Wobec tego każda możliwość zdobycia witamin była cenna. Ktoś kiedyś krzyknął, że w kuchni - kuchnia była na dole budynku, jej okna znajdowały się na wysokości ziemi - wyrzucają dla ludzi kaczany z kapusty. Ludzie momentalnie ustawili się w kolejkę. Pamiętam przedstawicieli lwowskiej nauki stojących za te odpa-

dy. Np. prof. Makarewicz z siwymi wąsiskami jak u szlagona, wysoki, widać, choćby po zwisających podbródkach, że kiedyś otyły, prof. Fryze i inni. Co pewien czas z kuchni wyrzucano te kacząny, to co u nas wyrzuca się do śmietnika lub daje świniom. Każdy brał i odchodził, panował tam nawet względny porządek. W pewnym momencie ^{to Frykasy} skonczyły się. Pamiętam tych naszych profesorów z zawieszonymi twarzami, smutnych i zrezygnowanych, gdy się rozchodzili. Kuchnia przygotowywała jedzenie nie tylko dla nas ale i dla całego lagrowego personelu. To dla nich pewnie była ta kapusta. Dostawali także "swinną tuszonkę", my z niej mieliśmy tylko ^{puszki} puszki, które służyły nam jako naczynia.

Wydawałoby się, że na wolności było lepiej. Kiedyś w kopalni nasz "nadstawnik" gdzieś poszedł. Wiedzieliśmy, że ma go nie być dłuższy czas, więc gdy tylko zniknął przestaliśmy pracować /to było nasze naturalne postępowanie w takich wypadkach/. Zgasiliśmy wszystkie "kopciłki" oprócz jednej, położyliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać. Bardzo narzekaliśmy na życie w lagrze. Był z nami Rosjenin, starszy już człowiek, który tam pracował jako już zwolniony z lagru. On miał pięćdziesiąt parę lat a my wszyscy po dwadzieścia - dwadzieścia dwa. Słuchał co mówimy, w końcu nie wytrzymał i powiedział: - "Kak wy możietie tak skazat? Wy pałuczajetie každydno dnia kilogram chleba! A wy jeszcze gawaritie czto płocho w łagierie!" Jednak nie mógł nas przekonać więc jako koronny argument dorzucił: - "A my w tridcat' trietim gadu kuszali swoich tawariszczej!" Niby o kanibaliźmie to myśmy skyszeli, ale rozmawiać z kimś, kto jadł swojego przyjaciela...

Wolność niewiele im chyba dawała. Wolni np. nie dostawali żadnych posiłków. Dostawali jedynie pieniądze, z których musieli opłacić mieszkanie i kupić coś do jedzenia. Kupić to znaczy godzinami stać w kolejce po chleb. Taka sama nędzna egzystencja jak i nasza.

Najtragiczniejszy był los kobiet. Były one używane w kopalni

"puodlen"

jako "liesogony" - dostarczycielki drzewa, ^{dlaczego widać, że} "stojek" czyli stempli. Jak wspominałem kawa węgle była ^{bardzo} niska, więc z "stojki" to były ^{stojki 60-80 cm} krótkie kawałki belek. Kobiety musiały je dostarczyć pracującym na przodku "zabojszczykom" - rębaczom. Rębacze wykopywali węgiel i zaraz następni górnicy ~~podstawiali~~ stemple. Serce mi się krajało, gdy oglądałem te kobiety. Spocone, zziębnięte, peźnące na łokciach i na kolanach i ciągnące pod pachami po dwie belki z każdego boku. Musiały je oddać na przodku. Najpierw więc schodziły te 2 km do kopalni a następnie wdrapywały się do góry tymi niziutkimi i wąskimi korytarzykami. Dozorcy tylko poganiiali: - "Skorieje! Skorieje!"

23.IV. po szpitalu przeniesiono mnie z pracy w kopalni na "stroitielstwo" - tartak. Robiliśmy tam właśnie "stojki" czyli stemple, cięliśmy też jakieś deski. W tym okresie przeżywaliśmy zakończenie wojny. Wiedzieliśmy o tym 8 maja. W obozie mieliśmy głośniki, które okrągłą dobę nadawały, ^{sowiecki program radiowy} dzień i noc bez przerwy. ^{Stojki} Stały one na dworze, ^(mówiono o nich do stajni) tak jak we Lwowie na ulicach. Były jakieś straszne mityngi, grali hymny - więc podejrzewaliśmy, że coś się dzieje. Rzeczywiście 8.V. o godzinie 24 podali w radiu, że "wajna akanczałaś". 9.V. rano była pierwsza oficjalna, ze strony władz obozowych, wiadomość o zakończeniu wojny. Gdy zbraliśmy się na porannej "prowierce", na plecach apelowym - i stamtąd dopiero wyruszyliśmy do pracy - to powiedziano nam, że wojna "akanczałaś". Pamiętam, że wystąpiła wtedy jedna z kobiet, która powiedziała, że skoro się wojna skończyła to już na pewno pojedziemy do domu. Padła na to odpowiedź: - "Nie lzja." ^{pojedziemy i naszymi grupami} Wcale nas nie wypuszczali. Później jednak ludzie zaczęli wyjeżdżać do Lwowa. W swoich zapisach mam notatkę, że 31.V. odszedł pierwszy transport do Lwowa. Oczywiście myśmy nie mieli żadnej pewności, czy ci ludzie jedą do domu czy ^{też} nie. ^{Może do innego łagru, bo talnie przypadli też dyty.}

Podczas mojej pracy w tartaku jeszcze jedno zdarzenie zapisało się w mojej pamięci. Pewnego dnia, po przyjsciu do pracy, za stali

śmy na kopalnianej bocznicy pociąg, który tam zajeżdżał. Mówiono nam, że to przyjechał transport Węgrów do któregoś z ekologicznych zagrów /było ich tam multum/. Gdyśmy przyszedli to więźniowie byli już odprowadzeni. Zajęliśmy się pracą i obserwowaliśmy jak z wagonów wyrzucano trupy. Było to straszne! Zorientowaliśmy się, że co najwyżej połowa z tych ludzi mogła być wyprowadzona z wagonów. Połowę wyrzucali martwych. Zrobiła się swoistego rodzaju sensacja. Myśmy uważali, że przyjechalibyśmy w bardzo ciężkich warunkach i faktycznie chyba w co drugim wagonie zmarł jakiś człowiek. Jednak gdy tutaj zaczęli wyrzucać trupy z każdego wagonu! Pociąg stał tak, że wyrzucali je po przeciwnej stronie niż myśmy patrzyli. Rzucali jednego, drugiego, trzeciego... siódmego... dziesiątego. Potem było ich już tak wiele, że ten stos zwłok sięgał wysokości podłogi wagonu a jeszcze potem zaczęliśmy widzieć ten rosnący stos rzuconych ciał. Musiało to być przynajmniej po 15 czy 20 zmarłych z każdego wagonu. Wg moich notatek miało to miejsce także 31.V. W tym rejonie o tej porze roku było już bardzo gorąco. Ci więźniowie jechali w upale. Myśmy strasznie narzekali, że ~~nie~~ ^{nie} mróz - rzeczywiście był straszny, sięgał 40 stopni. Ci ludzie jechali w upale, zamknięci zapewne jak my i przypłacili to życiem.

3.VII. przeniesiono mnie na dużą kopalnię "2 bis". To była kopalnia zmechanizowana, już dużo głębsza niż "154", ^{szadła} jeżdżało się na dół windami. Mieliśmy tam normalne lampy górnicze a nie "kopciuki". Ławy węgla były nieco wyższe, niestety niewiele. Na "szachcie 2 bis" stały już jakieś zabudowania, bo "154" to była tylko dziura w ziemi. Były tu budynki, wszystko otoczone drutami i wieżyczkami, bo zatrudnionymi w większości byli oczywiście więźniowie. Na tej kopalni był większy urobek, pracowało tu więcej ludzi i łatwiej się było obijać. ^{Opinia że pewnym czasie przychodziły do kopalni i ustawiały nas na dziedzińcu, będą nas jak zwykle liczyć i przydzielać - ilu na ten "uczastek" - (odcinek) ilu na ten.} ~~po pewnym czasie~~ przychodzimy do kopalni i ustawiają nas na dziedzińcu, będą nas jak zwykle liczyć i przydzielać - ilu na ten "uczastek" - (odcinek) ilu na ten. Nagle jeden z kolegów mówi

do mnie: -"Ja nie idę dziś na dół. Jestem taki zmęczony i śpiący".
- "Jak to nie idziesz?" -"No to chodź ze mną". Okazało się, że on
już to praktykował. Weszliśmy ^{nie do kopalni} do budynku administracyjnego kopal-
ni, o ile pamiętam dwupiętrowego, i schodami ^{schodami} udaliśmy się na sa-
mą górę, na strych. Strych był olbrzymi. Nie było tam niczego,
jedynie ogromne, 30-centymetrowe belki ułożone w kwadraty, ^{była to} kon-
strukcja stropu. Położyliśmy się za tymi belkami, ^{na krawędzi stropu} jak najdalej
od drzwi i przespaliśmy tam całą szychę. Potem, gdy już o danej
godzinie górnicy wychodzili, zeszliśmy ^{niepostrzeżenie} stamtąd i wmiszaliśmy się
w tłum. Początkowo trochę się bałem ale szybko stwierdziłem, że
w tym rozgardiaszu i przy wielkiej ilości pracujących można to
było dość bezpiecznie robić. Nie obyło się także bez "przygód".
Byliśmy już na tym strychu drugi czy trzeci raz, ^{Jednego razu 15.VIII 45} wraz z kolegą,
który mnie do tego namówił - ^{Stachowski} ~~Romanem Stodnikiem~~ /on-potem uciekał
z lagru, podobno go złapali/. Siedzimy na tym cichym strychu i
nagle słyszymy, że otwierają się drzwi. Zamarliśmy ^{z przerażeniem} i śichutko le-
żymy ^{schowani} za belką. Trochę zza niej ^{jednak} zerkamy. Po strychu chodzi Rosjan-
ka, prawdopodobnie z administracji. Chodzi i czegoś szuka, podno-
si spódnice do góry, trzyma ją pod pachami. Chodzi goła do pasa i
szuka, szuka. W końcu się załatwiła. Trwało to z kwadrans. Najed-
liśmy się strachu, bo mogli nas wtedy nakryć. Gdyby tak się stało
to napewno wyjechalibyśmy z tego lagru na jakieś ciężkie roboty.
Na szczęście ~~p~~ obyło się bez tego. Nasz, Polaków, udział w wyko-
naniu planu był jak wspominałem niewielki. Ludzie się bardzo ^{całkowicie} obi-
jali, jeżeli tylko było to możliwe. Gdy był obecny "nadstawnik"
to się kopało, ale jeśli gdzieś poszedł to praca z miejsca usta-
wała.

Niektórzy z współwięźniów w lagrze zachowywali się jak "kapo"
w niemieckich obozach, współpracowali z władzami obozowymi. Pamię-
tam jednego z nich, faceta o chytrej, zadowolonej gębie. Zaokrą-
glonej, bo jadł więcej niż my. Po pierwsze coś tam dostawał za

współpracę a poza tym zawsze dostawał "dubawkę". Jeżeli zostawało coś z zupy, to pytano: - "Kto chce dubawku?" i on zawsze, jeszcze zanim to krzyknęli, ustawiał się przy kotle. Jego żarłoczność była tak znana, że więźniowie zaczęli nazywać go "Dubawka". Nie pamiętam jego nazwiska. Odgrywał tam bardzo niepochlebnią rolę i ludzie bali się go. Po pierwsze mógł on Sowietaom zawsze donieść na konkretnego człowieka a po wtóre dysponował możliwością przydzielania ludzi do karnych robót. Wykonywało się je w czasie wolnym od pracy, było to np. zamiatanie korytarzy. Najgorszą karą jaką dysponował było wylewanie nieczystości z szamba. To wylewanie nieczystości, krwistych, bo tam przecież nagminnie pojawiały się biegunka, czerwotka, było nie tylko nieestetyczne ale i poniżające. Miałem możliwość zapoznania się z tą karną pracą, nie pamiętam już za co mi przydzieloną. Latryna była olbrzymia, miała z 15 m długości, wylewało się to wiadrem do rynien zrobionych z dwóch desek. Potem wywożono to szambo traktorem poza teren obozu.

W łagrze kontynuowano przesłuchania, tyle, że rzadziej niż w więzieniu. Były one stereotypowe, pytano wciąż o to samo. Trzeba się było powtarzać aż do znudzenia. Pojawiali się coraz młodszy śledczy, widać oni też byli już znudzeni i wymieniaли ludzi na nowych. Pamiętam jak jeden z tych śledczych usiłował mnie "pogłębić". Przy mnie wziął sobie ogórka, ostentacyjnie kroił go, biał rze do ręki, gryzł i patrzył na mnie jakby chciał powiedzieć: "ja mam ogórka a ty nie!" Pewnie miało to mnie jakoś podkopać, ale udało mu się tylko mnie rozśmieszyć, pomyślałem sobie: "żłobie, ja nie takie ogórki jadłem". Potem znów zmienili mi śledczego, na jakiegoś młodego blondyna. Temu już zupełnie nie zależało, zapisywał coraz krótsze notatki z przesłuchań. W końcu przestali mnie wzywać. ^{W maju 1945 nastąpiło} Potem było zakończenie wojny, skończyła się a myśmy dalej ^{Wojna 14 lat} siedzieli. ^{jakie wstąpienie} Na nasze pytania padała odpowiedź: - "Niczewo, niczewo. Eto nie dla was wajna akanczałaś!" Dopiero po jakimś dłuższym czasie koleddy

powiedzieli mi, że mam nie iść do kopalni, bo muszę coś podpisać. Tam była taka reguła, że tych, którzy następnego dnia mieli nie iść do roboty wyczytywali, bo przez cały czas uzupełniali coś w zeznaniach, wzywali do podpisywania jakichś papierów itp. Dzięki temu wszyscy moi koledzy wiedzieli już, że mam zostać w obozie. Powiedzieli mi, że chyba idę do domu. Nie byliśmy wcale pewni, czy rzeczywiście pojedziemy do domu, ponieważ o niektórych więźniach, którym powiedziano, że jada do domu, dowiedzieliśmy się potem, że są w innym lagrze. Mój sąsiad z ^{celi} ~~bazaru~~, JSzko ^{dentysta} ~~Podkowiński~~, stomatolog niedawno zmarły we Wrocławiu, powiada wtedy: -"Słuchaj, jak ty już wracasz to daj mi poduszkę." W pierwszej ^{a zarazem} i ostatniej paczce jaką mi matka przysłała ^{do przetrwania w t. w. w. w. w.} dostałem poduszkę. Dałem mu ją a on w zamian oddał mi swoją, tłustą, poplamioną węglem, całą zachlapaną zupą. Podczas drogi powrotnej sprzedałem ją na targu w Stalino. Mimo, że była niesamowicie brudna, ^{i zasmarowana} to wzbudziła taką furorę, że Rosjanie mało się o nią nie pobili. Wrywali ją sobie wzajemnie z rąk. Strasznie im się podobała, bo była wyszywana. Dostałem za nią tyle, że przez całą podróż powrotną mogłem sobie za te pieniądze kupować mleko i placki na bazarach.

II.IX. zwolniono nas czterdzieści osób. Odstawiono nas do łaźni, żebyśmy mogli się umyć. Przygotowaliśmy się do drogi. Wieczorem wyprowadzono nas z lagru. ~~Wtedy~~ ^{Wtedy} nie wiedzieliśmy na pewno dokąd idziemy, nie powiedziano nam, że jedziemy do domu. Wyprowadzono nas pod konwojem, ale na dworcu w Krasnodonie konwój nas opuścił, został tylko jeden żołnierz.

Podczas naszego powrotu obserwowaliśmy na stacjach, np. w Kijowie, w Stalino tłumy ludzi oczekujących na "komandirowkę", zezwolenie na przejazd. Bez "komandirowki" nie można się było dostać do żadnego pociągu. W tych czasach dysponentem miejsc był konduktor. Pociąg zatrzymywał się na stacji i wszystkie drzwi wagonów pozostawały zamknięte. Otwierano tylko jedno, w nich stał konduktor i

sprzedzał "konandirovki". Na dworcach działy się dantejskie sceny. Ludzie koczowali niosąc, ^{na plec} ~~portera niosące~~, z mełymi dziećmi. Tam ^{rodziły się} ~~rodziły się~~ dzieci, tam ^{we} ~~prędopodobnie~~ umierali ludzie starsi. Myśmy byli eskortowani przez pracownika NKWD, który p. ~~zresztą~~ prawie zupełnie się do nas nie strącał. Jechał z nami aż do Lwowa. Inkawudysta ten ułatwiał nam dojście do wagonów. Jako transport "enkawudowski" byliśmy bardzo uprzywilejowani w stosunku do miejscowej ludności, czekaliśmy stosunkowo niedługo do jednej doby. W drodze wysprzedawaliśmy się z resztek rzeczy, bo wyżywienie nucieliśmy, zapewnić sobie sami. Jechaliśmy ponad tydzień. Przez całą drogę obserwowaliśmy transporty wojskowe z Niemiec. Na otwartych lorach wieszono meble i obrazy, niczym nie przykryte, padał na to deszcz. Aż żal było patrzeć, jak te cacka, nieraz pewnie o wielkiej wartości artystycznej, niszczeją w niesamowity sposób. Nikt jednak nie przejmował się tym.

19.IX. dojechałem w końcu do Lwowa. Gdy przyszedłem ^{z dworca do domu} nie zastałem matki w domu. Sąsiadka ^{nana p. Kuzewska} zabrała mnie do siebie i mówi: - "Na miłość Boską, niech Pan nie pokazuje się matce, bo gotowa umrzeć z żałowania". Zaczekałem więc u niej a ona poszła aby przygotować ^{matkę} na mój ^{powrót} ~~przyjazd matkę~~ /.../

Po ~~przyjeździe~~ ^{Li. onie} z lagru chodźnikiem po ^{głus mnie odł. po awant} mieście, którego nie widziałem prawie rok. Któregoś dnia idę ul. Pełczyńską obok gmachu NKWD. Tam po aresztowaniu zebrano mi wszystkie rzeczy, na które wydano mi kwit. Nosikiem ten papierek przez cały pobyt w więzieniu i lagrze i nie wykorzystałem go na papierosy, ^{stary do} jak to zrobiła zdecydowana większość moich kolegów i znajomych. ^{W tegoż palone} (Mieli oni taką potrzebę palenia, że z tych ^{swobid} kwiłców robili skręty, bo nie było żadnego innego papieru. Wszedłem ^{nie} do ~~tego~~ ^{NKWD} gmachu i powiedziałem, że wróciłem z lagru, przedstawiłem im na te dokumenty a teraz chcę, żeby mi oddali ^{zabrane} moje rzeczy. Czekałem cztery i pół do pięciu godzin. Wyglądało to dość nieprzyjemnie, bo siedziałem sam w pokoju biurowym, do którego co pe-

ekawidyla

Nie me mówiac

wien czas przychodził jakiś Rosjanin, co raz to inny. Wpatrywał się we mnie i wychodził. Jeden z nich nawet siedł naprzeciw mnie i jakiś czas siedzi~~ł~~ ^{patrzył} ~~patrzył~~ ^{patrzył} na mnie i nie mówił ani słowa. ^{No to i} ~~ja~~ patrzyłem na niego. W końcu wyszedł. Nie nie mówili tylko patrzyli jak na małpę w ogrodzie zoologicznym. W końcu po dłuższym czasie pojawił się jakiś żołdaci i z szarej koparty ^{zawarto 5.} ~~wszystko~~ ^{wszystko} na biurko. "Wszystko?" - "Tak, moje." Oddali mi zegarek i srebrny sygnet. ^{kwadratowy ołc} Podpiszłem odbiór i wypuszczono mnie. ^{u dozna} ~~gd~~ ^{gd} powiedziałem o tym mojej matce, ogarnęła ją przerażenie. W dodatku dwa dni później do matki przyszedł dozorca z naszej kolonii: ^{szwad} "Proszę Pani, byli u mnie z NKWD i wypytywali się wszystko o pani synu." To było powodem, że matka podpisała urzędniczą w PMSze, gdzie byliśmy już zapisani na wjezd. ^{sprawa} ~~Przyspieszyło to tak, że w ciągu dwóch czy trzech dni~~ ^{emulki} ~~spekowaliśmy się i wyjechaliśmy ze Lwowa do PRL. Podróż ta~~ ^{po otrzymaniu dokumentów} ~~zaliczyła~~ ^{zaliczyła} ~~się do Lw., dokąd przybyłem 1. XII. 1950 i unieważniła do Lwowa.~~

Zafarymal

Wrocław, lipiec 1988 r.

I. NOTATKI Z LAGRU 22.XII.1944 - 19.IX.1945

- I. 22.XII.1944 Zatrzymano mnie, Łąckiego cela 7
30.XII.1944 I dopros /przesłuchanie/
31.XII. II -//-
2.I.1945 III dopros
15.I. Ankieta
21.I. Peregruzka /przeniesienie/ do sali II7
-
- 3.II.1945 Wywóz
11.II.45 Przyjazd do Krasnodonu
26.II. Przydzielenie na szachtę /kopalnię/ nr 154
6.III.45 Początek pracy na szachcie nr 154
23.III. Szpital
17.IV. Wypisanie ze Szpitala
18-20.IV.45 Zwolnienie lekarskie
21-22-23.IV. -9-//- -//-
23.IV. Przeniesienie z szachty do stroitielstwa /tartak/ WZS
24.IV. 45 Wypłata za pracę na szachcie za marzec - 69,80 rb
8.V.45 Godz. 24,00. Zakończenie wojny /przez radio/
9.V.45 Rano pierwsza wiadomość oficjalna o zakończeniu wojny
22.V.45 Imieniny Julii. Początek rozkonwojewywania kobiet w lagrze
23.V.45 Oznajmiono pierwszym mężczyznom /inż. Pfitzner i prof. Kuczyński/, że będą wypuszczeni
31.V.45 Odszedł I transport /"zwolnionych"/ 19 osób do Lwowa /15 kobiet i 4 mężczyzn/. Na dworzcu widziałem transport przybyły do Krasnego Donu.....
... Wyciągano kilkadziesiąt trupów.
I.VI.45 W drugim transporcie odeszło do Lwowa 4 osoby /2

kobiety i 2 mężczyzn/

2.VI. 45 Wypłacono za pracę w stroitielstwie /za kwiecień
23-30.IV/ 9 27,58 rb

5.VI. Wygasła umowa o pracy na stroitielstwie. Wyszliśmy
my do pracy o godz. 10,00

12.VI. Skradziono mi kalosze.

14.VI. Przyjechało 15 nowych śledczych. Zajęto dla nich
5 sal.

19.VI. Trzeci transport 24 osoby + I /jadą Jaworski i
Pfützner/ Do lwowa.

21.VI. Wypłata na stroitielstwie za maj - 54,59 rb

Czwarty transport /4 osoby/

24.VI. Piąty transport /40 osób/ Dr Kostkowski, Baumgarten

27.VI, Szósty transport 13 osób

28.VI. Cztery osoby "na obszczeżytye" /internat/ 3 kobie-
ty i 1 mężczyzna

2 b.

- Stawałem do komisji lekarskiej /kapitan i naczelnik
lagru/ Dostałem I kategorię

Rano dostałem zwolnienie od Kazimierowskiego na dwa
dni /28-29.VI/ na postrzał w krzyżach

30.VI, Zwolnienie na jeszcze dwa dni 30.VI. - I.VII

3.VII Zapisano mnie na szachtę 2-Bis /II zmiana/

Wyczytano mnie na dopros /przesłuchanie/ - /gdym
byłem w pracy/.

4.VII. Początek pracy na szachcie 2-Bis. I zmiana

5.VII. I dopros w lagrze

6.VII. Transport 17 osób do Lwowa

5.VII. Przybył do nas transport 20 Niemców /do lagru/

9.VII. Transport 22 osoby

11.VII Wychodne

3 a. 12.VII. Wyjazd 34 osób /w tym 7 profesorów: Fryze, Minkowski,
~~PRZYBYŁ~~

Przybyłowski, Minkiewicz, Kozikowscy, Płazek/

- 13.VII. Wyjazd 7 osób. Przeniesiono mnie na II zmianę szachty
2-Bis /od jutra/
- 15.VII. Przeniesiono mnie znowu na I zmianę.
Wychodne.
- 16.VII. Transport 30 osób.
- 19.VII. Transport 15 osób.
- 21.VII. Transport 6 osób pod konwojem.
- 22.VII. Wychodne zrobiłem sobie sam na Bisie /Stachowski/
Transport 13 osób
- 24.VII. Transport 14 osób
- 26.VII. Transport 22 osób
- 27.VII. Wychodne zrobiłem sobie sam na Bisie
- 3 b. 28.VII. Wypłata za czerwiec za stroitielstwo 10 rb
- 29.VII. Na 2-Bis przyszedł wielki transport Węgrów.
Transport do Lwowa 7 osób
- 3.VIII. Wychodne zrobiłem sobie sam na Bisie
- 5.VIII. Nie zjeżdżałem do szachty. Spałem na Bisie
Transport 11 osób /Marynowski/
Transport 54 ukraińców pod konwojem do lagru Nr 3
- 8.VIII. Zrobiłem sobie sam wychodne na Bisie
Transport pod konwojem 3 osoby /Bogdanowa/ do III lagru
- 4 a. 9.VIII. Zostałem w lagrze na dopros
Transport 21 ludzi
- 10.VIII. Zostałem w lagrze na dopros. I dopros na sali II żeńskiej
/ankieta i autobiografia/. Godz. 7,45 II dopros /protokół/
Dziś mam wychodne
- 15.VIII. Zrobiłem sobie wychodne na Bisie sam /Matki Boskiej Ziel-
nej/. Byliby nas nakryli.
Transport 8 ludzi
- 16.VIII. Transport 9 ludzi
- 17.VIII. Wychodne

- 18.VIII Rano nadzwyczajna prowierka. Wyjazd 306 osób
- 4 b. Idę do szpitala II, sala 7 /kłucie w plecach/
- 19.VIII Wyjazd wczoraj wyczytanych osób. Jedzie 274. Reszta cofnięta. Wyjazd pod konwojem /Starobielska/
- 20.VIII. Likwidacja szpitala II. Przeniesiono mnie do szpitala I, sala 8
- 21.VIII Transport 25 osób
- 22.VIII Powrót felczera, konwoju i wagonów z transportu z 19.VIII do Starobielska
- 26.VIII Wypłata za lipiec: WZS - 2,0 rb , 2-Bis - 10,0 rb
- 27.VIII Wyjazd 4 osób pod konwojem
- 28.VIII Ucieczka 5 ludzi z lagru /Stadnik, Erbert, Tomaszyniec, Gonczyk,/
- 5 a. 30.VIII Transport 23 osób /II ukraińców + 9 naszych, Staszek Klimczyk, K²asiowa/
- 31.VIII Dopros na II żeńskiej. Podpisywałem akt aresztowania jeszcze ze Lwowa /lejttnant Kozłow/
- 1.IX. Wypisany jestem ze szpitala. Zwolnienie mam do 5.IX. włącznie.
- 2.IX. Po raz pierwszy kotrozwiadka pracuje w sobotę wieczór i w niedzielę.
- 5 b. Miting z powodu zakończenia wojny z Japonią. Jutro święto pokoju ma być uczczone pracą stachanowską.
- 4.IX. Z lagru II przyprowadzono 6 ludzi. Przynieśli wiadomość o śmierci starego Kezimierowskiego
- 5.IX. Transport 9 osób /6 mężczyzn, Rozmarynowski i 3 kobiety/
- 6.IX. 22 osoby rozkonwojowane /Leszczyński/ /kierownik lagrowców/
- 7.IX. 9 osób transport
- 9.IX. Zwolniony z pracy na dziś od dr Waligórskiego
- 6 a. Do Krasnodonu przyszedł transport sowietów z lagrów amerykańskich /4000/

Z lagru I przyjechało do nas wieczór 23 osoby

- 10.IX. Wieczorem dowiedziałem się o bezkrotnym moim wyjeździe.
Na jutro zrobiłem sobie wychodne.
- 11.IX. Rano wyczytano mnie na wyjazd do domu. 7 wieczór za
druty.
- 12.IX. 2 w nocy na stację w Krasnodonie. 4 rano wyjazd do Wo-
roszyłowgradu
- 6 b. Godz. 9 rano Woroszyłowgrad. Fasowanie prowiantu na 4
dni. Noc na stacji.
- 13.IX. Odjazd do Stalino o godz. 6 wieczór
- 14.IX. Godz. 6 rano przyjazd do Stalino. Godz. 10 wieczór do
Kijowa.
- 15.IX. Noc, dzień i noc - jazda
- 16.IX. Rano godz. 10 przyjazd do Kijowa. Zwiedzanie Kijowa.
- 17.IX. Czekanie w Kijowie. W nocy o 1 przyjazd do Sarn
- 18.IX. 2 popołudniu w Sarnach. Zaraz wyjazd do Kowla. 6 wie-
czór Kowel. 10 wieczór wyjazd do Lwowa.
- 19.IX.1945 Godz. 10 rano przyjazd do ~~Kowka~~ Lwowa.

Winni mnie:

Janicki	1,- /i z talonów 1/, 5,- + chleb, 16,-, 17,-, 3,-, 7,-
Janowski	10,-
Ursel	3,-, 1,-
Horodyniak	1,-
Michał	7,50 + 1/2 chleba, 33,-
Sopotnicki	2,-
Saraczynski	5,-
Lipka	5,-
Greszczak	10,-
Jamniczko	10,-
Dradra	1,-
Terluk	10,-
Senkner	30,-
Garliński	10,-

186,50 rb

Stanisław K